NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VI. Kraków, 10 kwietnia 1909. Nr. 15.

Ostatnie chwile zbrodniarza.

(Treść na str. 2).



TREŚĆ NUMERU: Nowa placówka sztuki dramatycznej. — Odkrycie bieguna południowego. — Nowe polskie towarzystwo artystyczne. — Kuracya głodowa. — Tajemniczy trup w Rzymie. — Otrzeźwienie. — Przedwczesny zgon muzyka polskiego. — Intrygi angielskie. — Polacy w austryackiej służbie dyplomatycznej i t. d.

Z okazyi nadchodzących Świąt Wielkanocnych

przesyłamy naszym Prenumeratorom, Czytelnikom, Korespondentom i Przyjaciołom najserdeczniejsze życzenia.

Redakcya.

Ostatnie chwile zbrodniarza.

Na karę śmierci przez powieszenie na szubienicy skazany został przez lwowski sąd przysięgłych Piotr Czabak, herszt owej bandy rabusiów-morderców, którzy w roku 1907 dokonali w okolicy Gródka kilka morderstw i rabunków. Wyrok ten, zatwierdzony w ostatniej instancyi, wykonano na dziedzińcu sądu karnego we Lwowie w ubiegłą sobotę.

Ostatnie chwile zatwardziałego zbrodniarza były straszne, straszniejsze o wiele niż sam akt egzekucyi. Wiadomość o zatwierdzeniu wyroku spadła nań zupełnie niespodziewanie, Czabak bowiem oczekiwał ułaskawienia. Dowiedziawszy się o bliskim terminie stracenia, upadł morderca zupełnie na duchu. Opuściła go fantazya, opuściła ochota symulowania obłąkania, a przyszła straszna, przerażająca świadomość bliskiego końca.

I ta świadomość kazała mu kajać się za liczne grzechy, kazała w skrusze i żalu za życie zmarnowane, za przelaną niewinnie krew spędzić ostatnie chwile. Przebaczenia i odpuszczenia win błagał nieszczęsny skazaniec u wszystkich ludzi, wiedząc, że ich przebaczenie może mu wyjednać łaskę przed Sędzią Najwyższym.

Strasznych tych chwil na szczęście miał niewiele. Nie całą dobę. Spędził ją w osobnej, specyalnie na ten cel przygotowanej dlań celi. Żegnał się tam z rodziną swą, z żoną młodą, która życie swe sprzęgła z zbrodniarzem, nie wiedząc nawet o jego grzechach, z bratem, uczciwym i porządnym gospodarzem wiejskim, z matką-megerą, wspólniczką rabunków i mordów, z Tyszykiem, także wspólnikiem zbrodni, ułaskawionym jednak i skazanym na dożywotnie więzienie. Żegnał się potem z dozorcami więziennymi, którym w czasie swego przymusowego pobytu w kaźni, niejednokrotnie dał się we znaki — i wszystkich błagał o litość i odpuszczenie grzechów.

Szukał też pojednania z Bogiem. W celi jego bawił przez długą chwilę kapelan więzienny, przygotowując skazańca na śmierć. Słowa kapłana były dlań kojącym balsamem, od tej chwili też Czabak znacznie spokojniej i z pewną rezygnacyą oczekiwał śmierci.

Rano w sobotę około siódmej godziny, po ostatnich pożegnaniach z rodziną, odprowadzono Czabaka ze związanymi rękami na miejsce stracenia. Wznosił się tam prosty słup, przy którym zebrani byli członkowie trybunału sądowego z radcą Jonaszem, przewodniczącym, rozprawy na czele, prokurator, obrońca, dalej grono urzędników sądowych, dziennikarze i t. d.

Egzekucya, której dokonał przybyły z Wiednia kat Józef Lang oraz dwaj jego pomocnicy, trwała krótko. Na szubienicy zawisł zimny, zsiniały trup. Sprawiedliwości stało się zadość.



Ostatnie chwile zbrodniarza: Piotr Czabak w towarzystwie kapelana więziennego idzie pod eskortą na miejsce stracenia.



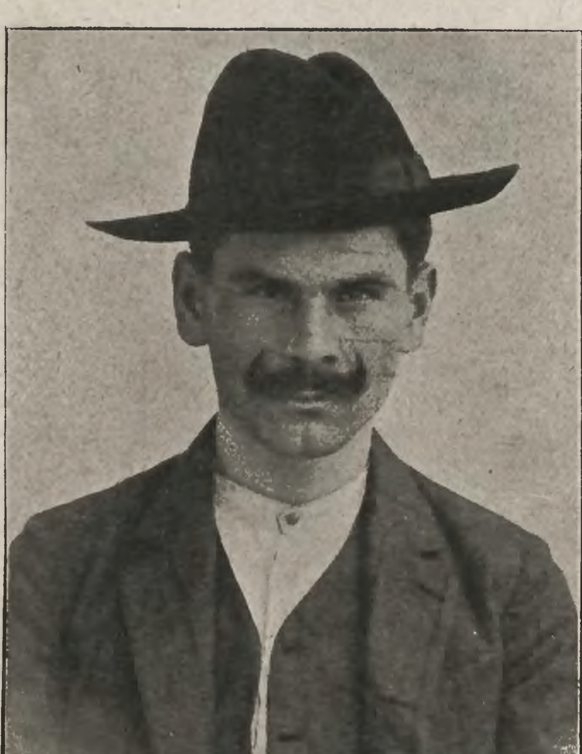
Ostatnie chwile zbrodniarza: Marya Czabakowa, matka skazańca, ukarana 10-letniem więzieniem i Teodor Tyszyk, zasądzony po ułaskawieniu na dożywotnie więzienie.

Nowa placówka sztuki dramatycznej.

Nie ma dziś dwu zdań w kwestyi, że Kraków potrzebuje drugiego teatru, potrzebuje miejsca pożytecznej i pouczającej rozrywki dla szerokich warstw ludności miejskiej, dla tych warstw, które nie mogą sobie pozwolić na odwiedzanie teatru miejskiego, bądź dla tego, że ceny wstępu są tam za wysokie, bądź dla tego, że repertuar jego jest za poważny, za ciężki.

Prób w kierunku stworzenia sceny popularnej, teatru powszechnego, nie brakło nigdy. Zawodziły one jednak zawsze. Nie mieliśmy też właściwie dotąd takiego teatru ludowego, jaki w Krakowie jest potrzebny. A nie mieliśmy, bo nie było dotąd człowieka, któryby miał warunki potrzebne do stworzenia tego rodzaju przedsiębiorstwa.

Dopiero w tym roku otrzyma Kraków scenę ludową w pełnem i najlepszem tego słowa znaczeniu. Stanie się to dzięki ofiarności dyrektora Edmunda Rygiera, jednego z najwybitniejszych artystów drama-



Ostatnie chwile zbrodniarza: Piotr Czabak.



Ostatnie chwile zbrodniarza: Pochód na miejsce stracenia. 1 Kat Józef Lang, 2 i 3 pomocnicy kata.



Nowa placówka sztuki dramatycznej: Dyrektor Edmund Rygier.

tycznych polskich, byłego dyrektora sceny polskiej w Poznaniu. Jak wiadomo, dyrektor Rygier w czasie swej dwunastoletniej działalności artystycznej w Poznaniu, postawił teatr tamtejszy na niedoścignionej przedtem wyżynie. Artysta i reżyser o wysokiej kulturze artystycznej, znakomity i energiczny administrator, pełen zapału i ochoty do pracy ukochanej, daje dyr. Rygier rękojmię, że i teatr ludowy w Krakowie poprowadzi należycie i zapewni mu świetny rozwój, przez co położy niemałą zasługę około podniesienia kultury wśród ludności naszego miasta.

Z programu przyszłej działalności nowego kierownika sceny ludowej podkreślić należy, że dążeniem jego będzie skupić w tym teatrze wszystkie sfery ludności miasta i zaspokoić ich potrzeby intelektualne. Co do repertuaru, to będzie on możliwie wszechstronny, obejmie bowiem nietylko sztuki popularne, ale tragedye klasyczne i dramaty najpoważniejszych współczesnych autorów, a dalej komedye, wodewile i operetki.

Personal dotychczasowy teatru ludowego zostanie gruntownie odświeżony i wzmocniony szeregiem sił młodych ale utalentowanych i rutynowanych. Pod kierunkiem doświadczonego dyrektora będzie można z tymi siłami wystawiać i najpoważniejsze sztuki.

Jedną z najdzielniejszych wśród nich będzie syn dyrektora, p. Jerzy Rygier, który pracował już na scenie poznańskiej, a ostatnio przez kilka miesięcy na scenie lwowskiej, zdobywając sobie zgodne uznanie krytyki a sympatyę publiczności. Wspólnie z ojcem pracować będzie odtąd w Krakowie, gdzie niewątpliwie wyrobi się na siłę pierwszorzędną.

Kulą u nogi nowego dyrektora sceny ludowej jest kwestya budynku. Z konieczności muszą się przedstawienia przez czas jakiś jeszcze odbywać w ujeżdżalni przy ul. Rajskiej. Dyr. Rygier przeprowadza tam szereg adaptacyi, tak że i scena będzie większa i odpowiednio urządzona i widownia sympatyczniejszy będzie miała wygląd, zaprowadzone też zostanie oświetlenie elektryczne. Niemniej musi dyr. Rygier dążyć i dąży też całą siłą do wzniesienia specyalnego budynku na pomieszczenie teatru ludowego.

W święta Wielkanocne rozpoczyna dyr. Rygier ciężką swą pracę. Oby uwieńczyły ją pomyślne, jak najpomyślniejsze wyniki.

Szczęść Boże na nowym posterunku!

Polacy w austryackiej służbie dyplomatycznej.

Wśród stosunkowo niewielu Polaków, pozostających na służbie dyplomatycznej i konsularnej Austro-Węgier, wybili się na naczelne miejsca dwaj bracia: hrabiowie Leopold i Tadeusz Bolesta-Koziebrodzcy, których portrety podajemy w niniejszym numerze z okazyi ich awansu, względnie przeniesienia na nowe stanowiska.



Nowa placówka sztuki dramatycznej: Jerzy Rygier.

Starszy z nich, Leopold liczy lat 54 a w roku 1881 wstąpił na służbę do ministerstwa spraw zagranicznych. Rozpoczął on swą karyerę dyploma-



Nowa placówka sztuki dramatycznej: Artystki i artyści teatru ludowego z nowym dyrektorem p. E. Rygierem (X) w pośrodku, oraz personal techniczny i służba.

tyczną w 1882 r. jako bezpłatny *attaché* ambasady w Konstantynopolu, poczem pracował kolejno przy ambasadach i poselstwach: w Paryżu, Kopenhadze, Brukseli i Bukareszcie. W r. 1891 zamianowano go kierownikiem poselstwa w Rio de Janeiro, następnie był przydzielony do ambasad przy Watykanie i Madrycie; wreszcie był posłem w Tangerze, obecnie zaś został posłem w Lizbonie.



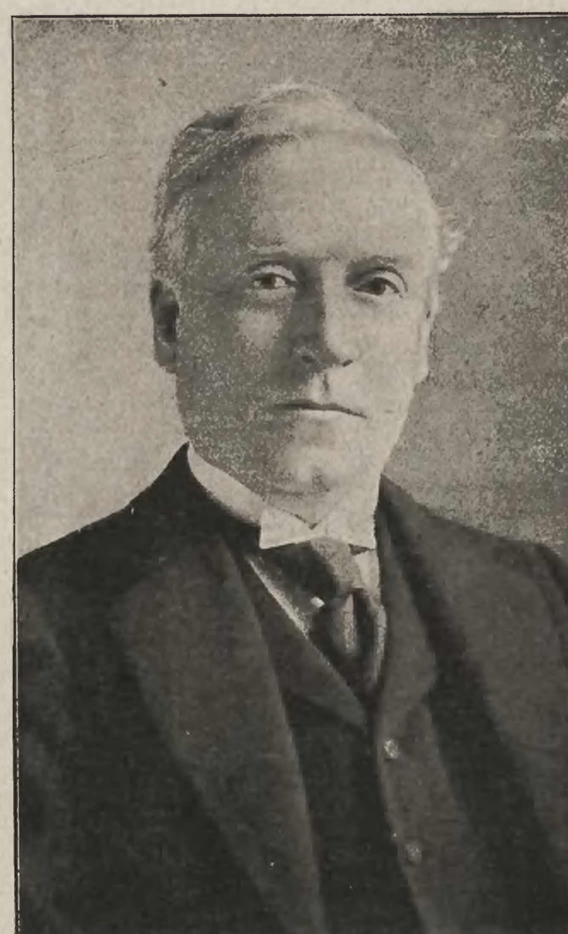
Polacy w austryackiej służbie dyplomatycznej: Tadeusz hr. Bolesta-Koziebrodzki.

Brat jego młodszy, dr. praw Tadeusz hr. Bolesta Koziebrodzki, urodził się 1860 r., służy zaś w ministerstwie spraw zagranicznych od 1884 r. Służył z kolei: w Londynie, Brukseli, Konstantynopolu i Dreźnie. Ostatnio kierował on konsulatem generalnym z tytułem posła w Kairze, skąd go powołano na posła przy dworze wirtemberskim w Sztutgardzie. Równocześnie będzie on zastępował Austro-Węgry przy dworach w Karlsruhe i Darmsztadzie.

Intrygi angielskie.

Więcej, niż od roku daje znaki życia w świecie politycznym nowa kombinacya, nazwana nieoficyalnie „trójporozumieniem“, w skład której wchodzą: Francya, Rosya i W. Brytania. Kombinacya ta stanowić ma przeciwwagę trójprzymierzu, które — jak wiadomo — tworzą: Niemcy, Austro-Węgry i Włochy.

Z naszego punktu widzenia niebyśmy przeciw tej nowej kombinacyi nie mieli, gdyby jej rezultatem było ukrócenie hegemonii Niemiec, dających się nam tak mocno we znaki. Niestety ostrze swych intryg skierowała Anglia pośrednio tylko przeciw Niemcom, a bezpośrednio przeciw monarchii Habsburgów. Ostatnią zawieruchę bałkańską przypisać należy w znacznej mierze angielskim zabiegom, których podobno kieruje sam król Edward. Rzecz prosta, że w państwie nawskroś konstytucyjnem, jak Aglia, gdzie król powinien „panować, ale nie rządzić“, gabinet, będący u władzy, pokrywa swą powagą i odpowiedzialnością machinacye koronowanego dyplomaty. W pierwszym zaś rzędzie odpowiedzialnym być musi prezydent gabinetu, nadający charakter każdorazowej polityce W. Brytanii. Jest nim obecnie Herbert Henryk Asquith — którego portret w niniejszym numerze podajemy — niegdyś czerwony prawie radykał, dziś umiarkowany liberał, nie ustępujący prawie konserwatystom tam, gdzie chodzi o utrzymanie *préstige'u* zjednoczonego królestwa W. Brytanii wobec zagranicy.

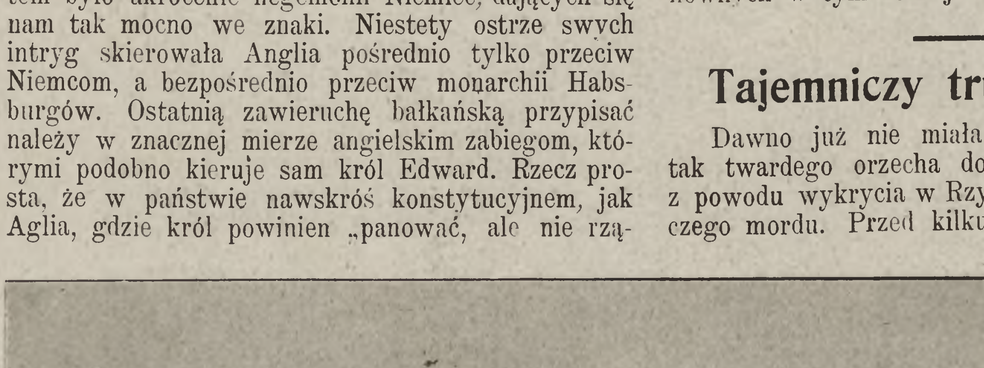


Intrygi angielskie: Herbert Henryk Asquith prezydent angielskiego gabinetu.

Jest on prawdopodobnie wtajemniczony w plany króla Edwarda, zgadza się na nie i poddaje się chętnie naciskowi opinii angielskiej, która uczyniła nagły zwrot w kierunku wzmocnienia sił zbrojnych kraju, tak na lądzie, jak na morzu. Plany ogromnego pomnożenia i tak już kolosalnej floty angielskiej, niepokojące w wysokim stopniu Niemcy, znajdują w nim silne poparcie, a intrygi dyplomacyi angielskiej, wymierzone przeciw Niemcom i Austro-Węgrom, gorącego orędownika. Nie udała się wprawdzie dyplomacyi angielskiej ostatnia intryga na Bałkanie — ale z pewnością nie zaniecha ona prób ponownych w tym rodzaju.

Tajemniczy trup w Rzymie.

Dawno już nie miała policya międzynarodowa tak twardego orzecha do zgryzienia, jak obecnie z powodu wykrycia w Rzymie zwłok ofiary tajemniczego mordu. Przed kilkunastu dniami mianowicie znaleziono tam w jednym z pensyonatów przy ul. Frattina ukryte w kufrze zwłoki młodego mężczyzny, około 20 lat liczącego, przyzwoicie odzianego, szatyna, o rysach twarzy delikatnych, a wargach grubych i nieco wystających.



Tajemniczy trup w Rzymie: Zwłoki zamordowanego na stole operacyjnym przed obdukcyą.

Policya włoska rozwinęła niezwłocznie bardzo energiczną działalność celem stwierdzenia, kto jest ową ofiarą mordu, a kto jego sprawcą. Jak dotąd jednak usiłowania policyi pozostały bez skutku, mimo energii, z jaką są prowadzone.

Dochodzenia stwierdziły tylko tyle, że mieszkanie w pensyonacie, gdzie kufer ze zwłokami znaleziono, wynajął przybysz z Królestwa polskiego lub Rosyi, który zameldował się jako Włodzimierz Tarasow. Do tego rzekomego Tarasowa przyszedł w odwiedziny zamordowany w towarzystwie drugiego mężczyzny i mieszkania już nie opuścił. Tarasow zaś i ten drugi towarzysz ulotnili się z Rzymu.

Wynika dalej z dochodzeń, że zbrodnia ma podkład polityczny i że zamordowany był Polakiem. Był to prawdopodobnie szpieg polityczny lub ajent prowokacyjny, podający się za rewolucyonistę. Zapewne w celach „urzędowych“ wybrał się do Rzy-



Polacy w austryackiej służbie dyplomatycznej: Leopold hr. Bolesta-Koziebrodzki.

mu, tam go jednak poznano i życia pozbawiono. Nie wiadomo atoli ani jak się nazywał, ani skąd i kiedy do Rzymu przyjechał.

Pewne jest natomiast, że bawił przedtem w Warszawie i Krakowie. Dowodzi tego jego bielizna. Nocna koszula bowiem ma markę „Julian, ul. Marszałkowska, nr. 102, Warszawa“, dzienna zaś markę „Bracia Sperber, Kraków“. Kołnierzyk jest z marką „Bracia Bilewscy, Kraków“, krawatka zaś nosi markę „Z. Wieczorek, Kraków“.

Tajemniczy ów mężczyzna zamordowany został z nadzwyczajną sprawnością. Nikt z mieszkańców pensyonatu nie słyszał żadnego hałasu, także na ciele nie znaleziono wcale śladów walki lub gwałtu. Autopsya wykazała, że otruto go cyankiem potasu, wlanym zapewne do wina. Już nieżyjącego złożono do kufra i tak zostawiono.

Zwłoki ofiary policya włoska odfotografowała i kopie zdjęć rozesłała do policyi miast większych, przedewszystkiem do Warszawy i Krakowa.



Tajemniczy trup w Rzymie: Zwłoki zamordowanego mężczyzny w kufrze, w tej pozycyi, w której [illegible]

PAWEŁ MARGUERITTE.

CZARNA KSIĘŻNICZKA

15 Ciąg dalszy.

Markiza poruszona tym tonem, nie przeczuwając ukrytej myśli, w słowach jego, widziała tylko szkodliwe dla zdrowia podniecenie.

— Doktór zalecił ci spokój, byś mało mówił.

— Auroro, czyż ja będę miał jeszcze chwilę takiej rozmowy — zawołał z doskonale udanym przejęciem. — Chciałbym odkryć ci swe serce, byś czytała w niem cały mój żal i wszystkie wyrzuty. Jeżeli nie powstanę już z tej choroby, obym chociaż mógł powiedzieć sobie, iż mi przebaczyłaś....

Pani Morailles, odczuwając w swem sercu litość dla męża, doznała jednak jakiegoś niepokoju, jakby instynkt przestrzegał ją przed grożącem niebezpieczeństwem. Odpowiedziała:

— Między nami była zawarta niema umowa, iż nigdy nie powrócimy do tego, co było. Przeszłość jest przeszłością i nic na to nie możemy poradzić. Po co więc masz niepokoić się i mnie męczyć?

— Ach, jak ty mnie musisz nienawidzieć, jeżeli taką jesteś wobec mego żalu i skruchy!

— Ja cię wcale nie nienawidzę — odpowiedziała wzruszona mimowoli.

— Jestem ci obojętny, a to jeszcze gorsze. To moja męczarnia!

Mówił to zdanie przejętym głosem. Spodziewał się, że ją złamie, a ona wymyka mu się. Odczuł, że nic od niej nie dowie się. Strategia jego była chybiona. Jeżeliby wyrzucała mu jego wiarołomstwo kochanki, skandale, mógłby ją doprowadzić do tego, iżby zdradziła się nierozważnie. Lecz ona trzymała się w rezerwie. Gniew coraz większy opanowywał go.

— Tak, ja rozumiem: twa duma nie może mi przebaczyć. Już nic nas nie może połączyć. Rozdzieleni aż do końca, takie jest nasze przeznaczenie.

— Tak — odpowiedziała zmęczona — takie nasze przeznaczenie.

A ja szalony — szeptał, udając jakby, mówił w gorączce — sądziłem, że mój stan, możliwość rychłej śmierci wzruszy cię, lecz ty cieszysz się, widząc mnie słabym, bezsilnym. Agonia moja będzie dla ciebie wyzwoleniem!

Podniosła się blada z wyrazem oburzenia na twarzy:

— Gorączkujesz... Jakim prawem śmiesz mi zarzucać....

— Ach! — zawołał z wściekłością — wszystkie wy jesteście do siebie podobne. Będziesz nosiła po mnie żałobę, lecz błogosławić będziesz ten wypadek, który cię uczyni wolną.

— Cóż ja mam zrobić z tą wolnością?

— Czyż ty nie rozumiesz, że *ja wiem wszystko!*

Spojrzała na niego i wzrok się ich spotkał, przez chwilę jakby magnetyzowali się. Zaczynała się walka bez przebaczenia.

— Cóż takiego wiesz?

Zawołał głośniej jeszcze, sam poddając się grze, którą rozpoczął:

— Ależ wszystko! Czyż sądzisz, żem ślepy. Wszystko odgadłem już dawno. To mnie dusi, pali!

— Uspokój się, gorączka cię podnieca.

— Ach, Auroro, jakie marzenia ja miałem. Marzyłem o przebaczeniu, o wzajemnem zapomnieniu. Chciałem, czy żyć, czy umierać ale pogodzony z tobą. Sądziłem, że mi przebaczysz, a ja sam, choć mężczyzna, zaparłbym się siebie, by rzucić zasłonę na twoje błędy, chwilę twego zapomnienia.

— Ty zmysły tracisz — zawołała przestraszona, lecz głosem pewnym siebie.

Gdy mówił: ja wiem wszystko, widziała jak bladł, drżał. Odparła jego cios.

— Tak, to prawda — rzekł złośliwie — że już nie możesz poślubić Roberta Le Chars, bo on umarł.

Omal, że nie rzuciła się na niego, by dłonią zamknąć mu usta i powiedzieć: Zamilcz! Zabraniam ci wymawiać to imię. Idź do swych kochanek, a mnie pozostaw memu cierpieniu.

Lecz powstrzymała się i patrząc na niego wzgardliwie, odrzekła:

— To delirium... Nie mów nic, Henryku... Odpocznij... Zapuszczę firanki i wyjdę...

Schwycił ją za ręce z jakąś konwulsyjną siłą i nie puszczał:

— Nie pójdziesz... Dokąd chcesz iść? Odszukać swego bękarta?... Tak, to twój bękart! A tyś sądziła, żem ja ogłupiał!

Rozległ się wielki krzyk. Pani Morailles zdołała wyrwać mu się i pobiegła do drzwi.

— Kajetan!... On zwaryował!...

Markiz przelękł się: przekroczył granicę, może wyniknąć skandal.

— Tak, zwaryowałem — rzekł dziwnym głosem — nie wiem, co mówię. Zazdrość mnie oszołomiła! Auroro, uspokój mnie. Powiedz, że to złudzenie... Pozostałaś mi wierną?... Robert.... to dziecko?....

Pani Morailles zbierając resztki sił, zbliżyła się do posłania i kładąc dłoń na jego spocone czoło, nachyliła się nad nim, nad temi oczami, które mimo fałszywego błagania śledziły każdy jej ruch.

— Porozmawiamy o tem, gdy staniesz się znowu sobą. Nie mogę opowiadać choremu, oburzać się na ciebie, mimo iż tak mnie brudzisz.

— Tak, jam winien, bo wierz mi, iż ja ciebie kocham, nieprzestawałem nigdy kochać... Ja nie mogłem znieść tej myśli, że ty... nie oskarżam cię, nie mam prawa, lecz zazdrość tak mnie męczy. Bądź szczerą ze mną... jeżeliś mnie zdradziła... to ja zasłużyłem na to.

Zdawał się mówić szczerze. Przez chwilę Aurora chciała raz z tem skończyć, wyznać mu wszystko! Lecz co potem!... Taki człowiek, jak on!...

— Jestem szczerą, nic nie mam do wyznania. Miałeś napad gorączki, która to wszystko wywołała.

— Ty nie kłamiesz, Auroro, lecz przysięgnij mi, a ja ci będę wierzył....

— Przysięgam ci — odpowiedziała markiza.

— Na głowę naszego syna?

Chwilę tylko zawahała się. Oby ta przysięga nie zaszkodziła mym synom, pomyślała.

— Przysięgam na głowę Andrzeja.

— Wierzę ci — odrzekł markiz i opadł wyczerpany na poduszki.

— Tyś wątpił o mnie, Henryku? Lecz może jam winna w istocie względem ciebie — mówiła z wyrazem przybranej szczerości. — Nie byłam otwartą z tobą, lecz sekret ten nie do mnie należał....

— Nie, nie mów mi nic — odezwał się markiz z udaną wiarą. — Chcę zasłużyć na twe przebaczenie, wierząc ci ślepo.

— Chcę ci wykazać tylko błędność twych podejrzeń! Jak ty mogłeś w to wierzyć. Kalumnię rzucono na mnie... zebrano pozory świadczące przeciw mnie... Uspokój się: jest w mem życiu tajemnica lecz nie moja, ale przyjaciółki, którą znieważyłeś niesprawiedliwie....

— Proszę...

— Której zabroniłeś wpuszczać...

— Winien jestem...

— Zraniłeś moje serce i jej, lecz uważaj, bo ona ma obrońcę, który okryje ją swem imieniem.

— Co ty chcesz powiedzieć?

— Poślubia ojca swego dziecka.

— Ojca?

— Tak, Maurycy Le Chars; oto dlaczego spotkałeś go u niej. Uznają to dziecko, gdyż do tej pory nie mogli tego jeszcze uczynić. Czy teraz będziesz mi zarzucał, że chowałam ten sekret?

— Auroro, ja wierzę...

Pan Morailles przejęty tą wiadomością, nie wiedział co myśleć. Mylił się więc... Jak jeszcze nie wierzyć wobec takiego tłomaczenia.

— Więc panią Dandre z Maurycym Le Chars łączył?...

— Tak, ja o tem nie wiedziałam, dopóki miłości tej nie zdradziło narodzenie dziecka. Wtedy pod pozorem wyjazdu do Roche-Forte byłam przy jej rozwiązaniu.

A więc dlatego nie była w zamku, myślał markiz. Najmniejsze więc nawet zarzuty rozwiały się... Lecz jeszcze jedna wątpliwość.

— Dlaczego ten związek był w tajemnicy. Dlaczego pan Le Chars nie poślubił jej wcześniej?

— Był on jeszcze pod władzą dawnej kochanki, a opium, którego w Azyi nadużywał, osłabiło zupełnie jego wolę. Był daleko stąd, gdy się dowiedział o stanie Joanny.

— Przebacz mi Auroro, chociaż tylko tę zazdrość moją, jeżeli nie możesz przeszłości. Nie mogę darować sobie, żem ci odmówił szacunku.

— Nie dotknąłeś mnie, lecz nie mówmy już o tem. Lecz spokojnie musisz odpocząć.

— O, tak...

Pani Morailles wyszła, odprowadzona jego wzrokiem, w którym mimo wszystko widniała jeszcze wątpliwość i uraza. Więc on był zwycięzonym! On! który u nóg swych widział nie jedną kobietę. Jak jej jeszcze nie wierzyć! Mówiła prawdę, lecz prawda ta go poniżyła. Czuł się zwycięzonym i w chwili tej nienawidził jej.

W miesiąc potem pani Morailles znajdowała się na dworcu kolejowym, odprowadzając młodą parę małżonków, poprzedniego dnia dopiero poślubionych sobie. Do odjazdu brakowało jeszcze trzech minut. Mazkiza z oczami zapłakanemi pod gęstą woalką szeptała tylko:

— Moi drodzy, moi przyjaciele...

— Odwagi więcej, markizo: pamięć o pani zawsze będzie żywą w naszych myślach.

— Będziemy się opiekowali Jackiem — rzekła Joanna, już jako pani Le Chars.

Konduktor zawołał: proszę wsiadać!

Ostatni jeszcze uścisk zamieniły obie istoty. Drzwi wagonu zatrzasnęły się i w chwilę potem pociąg ruszył.

Pani Morailles smutna, z sercem zbolałem wróciła do pałacu. Pierwszę jej kroki były do Andrzeja. Ucałowała go serdecznie, przyciskając do piersi z myślą o nim i o drugim synu, którego opuściła.

CZĘŚĆ II.

I.

DZIECIĘCTWO JACKA.

Upłynęło lat dziesięć.

W otwarte okna pałacu Corsi jasne niebo Wenecyi słało słoneczne promienie, złocąc niemi wnętrze konsulatu francuskiego. W jednym z salonów piękna jeszcze kobieta, siedząc w wielkim, skórą obitym fotelu z książką na kolanach, słuchała jak młody, dwunastoletni chłopiec wydawał swą lekcyę.

— Bardzo dobrze, Jacek, jestem z ciebie zadowolona.

A ponieważ podsunął jej do ust czoło, by otrzymać jej zwykłą nagrodę, ucałowała go serdecznie.

Zapytał:

— A więc pójdziemy, mamusiu do ogrodu, prawda? Gizela powiedziała, że przyjdzie także.

Pani Le Chars uśmiechnęła się patrząc na tego syna adoptowanego, swego syna według prawa. Miał czarne oczy, zgrabną energiczną postać, żywą, inteligentną twarz.

— Joanno — odezwał się Maurycy Le Chars, wchodząc do salonu, który komunikował się z jego gabinetem — popatrz co ja mam — i pokazał jej list z marką francuską.

Pismo nie było jej obce, zaczęła je czytać, podczas gdy konsul, kładąc rękę na głowę dziecka rzekł mu:

— Idź ubierać się, zbyt ładnie jest, by siedzieć w domu.

— A czy tatko pozwoli wziąć wielką gondolę z dywanem i żeby Zurli i Pietro wiosłowali.

— A to poco panie Jacku?

— Żeby nas widziała moja przyjaciółka Gizela.

Chłopiec powiedział to z taką naiwną powagą, a zarazem z takiem pragnieniem podobania się swej Dulcynei, że ojciec — czyż nie był nim obecnie? — roześmiał się do niego, gładząc go po włosach.

Zwrócił się do żony, mówiąc jej pocichu, podczas gdy dziecko z balkonu przypatrywało się przepływającem gondolom:

— Jak on jest podobny! Ten sam głos, ruchy. Oczy, czoło zupełnie jak u Roberta....

— A wdzięk Aurory — dodała Joanna.

Spojrzeli na siebie z czułością: dobrze dopełnili swego zadania. Jacek chował się szczęśliwie, sprawiając im sobą wielką radość. Jak każde dziecko, miał swe wady; bywał uparty, gwałtowny, leniwy czasem, lecz zaraz poprawiał się, gdy spostrzegał, iż czyni przykrość swym rodzicom.

Joanna oddając list po przeczytaniu mężowi, zauważyła, iż znowu ma oczy zmęczone, a na twarzy wyraz jakiegoś kłopotu, który mu nieraz czoło zamraczał. Stanowili szczęśliwe małżeństwo. Dzięki zaletom swym, Joanna była jak najbardziej dobraną towarzyszką, dla tego wykształconego, kulturalnego mężczyzny, lecz zarazem bardzo uczuciowego i nerwowego, Maurycy Le Chars nie miał istotnie tej równowagi moralnej, jaką odznaczał się jego brat. Skory do uprzedzenia się jak i zniechęcenia, zdawało się, iż zachował jeszcze resztki dawnego swego życia burzliwego, ślady poprzednich nadużyć. Przez pewien czas bała się, iż odda się znowu opium. Śledziła go dyskretnie, nie zauważyła jednak najmniejszej rzeczy, któraby wskazywała, iż mąż powrócił go zgubnego nałogu. Nie miał żadnych przykrości, żadnych ambicyi, a jednak widać było nieraz na nim jakiś smutek. Co mogło być jej mężowi? zadawała sobie nieraz to pytanie. Jeżeli go pytała, zapewniał, że nic mu się złego nie stało. A jednak....

— I co ty mówisz na ten list? — zapytał.

Zbliżyła się do niego, opierając głowę swą na jego piersiach.

— Co postanowisz, to będzie dobre.

— Widocznie, że markiz nie żywi już żadnych podejrzeń, kiedy zaprasza nas sam, byśmy przebyli

miesiąc w Roche-Forte... Przez dziesięć lat charakter może się zmienić...

— Mniej też boję się jego....

— Niż Aurory?... Ciągle jest niespokojna. Ta rana pozostaje w niej niezagojona... Nieroztropność z jej strony...

— Tak, a pytam, czy to nie jaka pułapka markiza?...

— Co za myśl!

— Czyż można mieć pewność?... Może to i zbyteczna obawa... Po dziesięciu latach...

— W każdym razie w tym przeciągu czasu już spotykaliśmy się z nim. Nigdy z zachowania jego nie mogłem wywnioskować, że przeniknął naszą tajemnicę.

— To prawda. A więc?

— Jeżeli sprawi ci przyjemność pobyt w Roche-Forte?...

— Bez wątpienia, przecież tam moja młodość upłynęła. Przyznam się, że byłabym bardzo szczęśliwa z odwiedzin Aurory. Zdrowie jej niepokoi mnie.... Wspominała w listach o braku sił.... Nie wiem, czy pobyt w Roche-Forte może być dla niej dobry. Zbyt wiele ma stamtąd wspomnień. Biedna kobieta!...

— A on nic nie czyni, by ją uspokoić. Ciągle młody, ciągle zajęty nowemi namiętnościami. Wtedy była Lauru Dianti, obecnie jakaś Maud Kiss z *Café-Chantant*.

— Czy ty rozumiesz tego rodzaju jednostki, bo dla mnie one są zawsze obce.

— Mężczyźni są zawsze mężczyznami. Najlepsi mają swe słabostki, moja droga.

Joanna popatrzyła na męża. Powiedział to z jakimś smutkiem.

— Nie, są i prawi. Ty, naprzykład...

Uśmiechnął się do niej i pocałował ją w czoło.

— Mamusiu! mamusia jeszcze nie gotowa? — zawołał Jacek, w biegając do pokoju.

Za nim weszła Bourguignone, niosąc kapelusz, rękawiczki, okrycie dla swej pani. Dawna mamka po stracie swego męża i syna, jeszcze bardziej przywiązała się do swych państwa i nie chciała już z nimi roztawać się.

Joanna wkrótce już była ubrana, Jacek podskakiwał z radości.

— Wesołej zabawy! — rzekł Maurycy, spoglądając na nich z uśmiechem.

— A dlaczego ty nie chcesz iść z nami? — zapytała Joanna.

— Spodziewam się, iż przyjdzie Olovera. Zejdę jednak na dół, by zobaczyć, jak będziecie jechali.

Przy stopniach szerokich schodów oczekiwała na nich wspaniała gondola z dwoma wioślarzami.

Mały, żywy, czarny Zurli podał rękę pani Le Chars, by mogła przejść do gondoli, gdzie stał poważny, wysoki, rudy Pietro. Jacek sam wskoczył i siadł koło matki.

Wkrótce przybyli do przystani *Giardini publici*.

— Mamusiu, już jest Gizela ze swoją mamą!

Dwie kobiece postacie poruszały na przywitanie parasolkami. Matka i córka były do siebie zupełnie podobne o jednakowych złocistych włosach, wyglądających jakby farbowane.

Pani de Pre Hautre jak i Gizela ubrana była w białą koronkową suknię. Obie nadzwyczaj eleganckie, w zbyt może wytwornych toaletach, zwłaszcza dziewczynka była jak uosobienie piękności i wdzięku.

— Dzień dobry drogiej pani — odezwała się pani de Pre Hautre, uśmiechając się czarownie. Co prawda, uśmiech ten okazywał zbyt karminowe usta, a oczy za sztucznie jaśniały, co nie bardzo podobało się Joannie, która nigdy nie używała nawet pudru. Ale jak można okazywać się obojętną wobec rodaczki, która zachowuje się jak najpoważniej i mieszka już od miesiąca w jednym z najpiękniejszych i najdroższych hoteli weneckich.

Podawała się za mężatkę i nie było powodu jej nie wierzyć, choć nikt jeszcze nie widział pana de Pre-Hautre; mówiła jednak, że poluje w Sycyli i ma lada dzień powrócić.

Po wyjściu z gondoli, pani de Pre-Hautre i Joanna przechadzały się po alei, szukając cienia, podczas gdy dzieci ich biegały wesoło, zajęte zabawą.

— Jakiż to miły chłopczyk, synek pani! — odezwała się pani de Pre-Hautre.

— Zdaje mi się — odrzekła z uśmiechem Joanna — że i pani nie może się skarżyć. Taka rozkoszna jest Gizela!

— Ach, istotnie, ją tylko mam jedyną na pociechę w mych smutkach.

Widząc zdziwioną minę swej towarzyszki, dodała:

— Nie mówię o obecnym czasie. Mój mąż jest niezwykle dobry tak dla mnie, jak i swej pasierbicy — gdyż Gizela, czy ja to pani już mówiłam? jest z pierwszego małżeństwa.

— Ach, tak! — odpowiedziała chłodno Joanna.

— Uważają mnie za wdowę i ja temu nie przeczę ze względu na córkę; jestem rozwiedziona, a pani wie, że w naszym świecie jest to źle sądzone. Istnieje jeszcze dużo przesądów przeciw rozwodom.

— Istotnie, bywają wypadki, gdy rozwód jest konieczny.



Nagle cofnęła się gwałtownie w bok, pociągając swą towarzyszkę za klomb.

— W takim wypadku właśnie ja się znalazłam. Poślubiłam wprost potwora.

— Naprawdę? — odezwała się Joanna poruszona.

— Prawdziwego potwora. Nienawidził mnie i córki, pozbawiał nas wszystkiego. Ośmielił się nawet bić nas. Był to dziki zwierz, niezwykle gwałtowny, rozpustny, romansujący nawet ze sługami.

— Och! — zaprotestowała Joanna wzruszona temi oskarżeniami, jednocześnie jednak nie mogąc oprzeć się myśli, czy ta ładna lalka nie była zupełnie bez winy.

— Na szczęście otrzymałam rozwód po wykazaniu jego rozpusty.

— To bardzo smutne, a córeczka?

— Bezwarunkowo, że oddano mi ją zupełnie. Byłoby to monstrualne pozostawiając ją z takim ojcem!

— Istotnie!

— I tak musi corocznie spędzać z nim dwa tygodnie. Prawo ojca, pani to rozumie. Jak sędziowie mogą przyznawać prawa takiemu ojca!

— Mój Boże... Można być złym mężem, a zachować uczucia ojcowskie.

— Ale nie on; nie cierpi mojej córki, jak nie cierpiał mnie. *A propos*, muszę poradzić się pana Le Chars, jako konsula, a pani jako przyjaciółki prosić o pewną wskazówkę.

— Proszę bardzo — odpowiedziała grzecznie, lecz chłodno. Uważała, iż ta pani zbyt pochopnie tytułuje ją swoją przyjaciółką. A i te zwierzenia wydały się jej trochę dziwne, zwłaszcza, że bardzo mało ją znała.

— Właśnie te dwa tygodnie winna była spędzić u niego w sierpniu, a teraz mamy już wrzesień. Czas już upłynął i on teraz domaga się jej przyjazdu.

— Więc?... — zapytała Joanna.

— Pani pojmie, że ja nie opuszczę Wenecyi, gdzie jest mi dobrze i gdzie córeczka ma się doskonale, by jechać do Francyi i oddać ją temu katowi, który pastwi się nad nią i nie daje jej nawet jeść.

— Dobrze, lecz nie widzę...

— Pan Le Chars może mi wskazać sposób legalny, by tego uniknąć.

— Istotnie.

— A pani będę prosiła o podanie adresu jakiego doktora, któryby dał mi świadectwo, iż Gizela z powodu zdrowia nie może obecnie podróżować.

— Poszukam.... wyznam jednak, że nie wiem, czy jaki doktór skrupulatny.

— Ba! cóż to może mu szkodzić?

Joanna coraz krytyczniej zaczęła spoglądać na swą znajomą, lecz pani de Pre-Hautre była tak miłą i tak kochała swą córkę!

— Ach! żebym ja pani opowiewiedziała wszystko, co przecierpiałam!

Nagle cofnęła się gwałtownie w bok, pociągając swą towarzyszkę za kląb.

— Ach, mój Boże!

— Co pani jest?

Pani de Pre-Hautre stała się bladą, oddychając ciężko.

— Zdawało mi się... Nie, niech pani się nie porusza, proszę bardzo... Oby tylko nie spojrzał w stronę dzieci!

— Ale któż taki?

— Przyjaciel mego dawnego męża! Pani pojmie! Jeżeli on poiformowałby go o mojej tu obecności. Ach, obraca się!... Nie, chwała Bogu? Oddala się. Zawołajmy dzieci... Gdyby je poznał!...

Zawołała:

— Gizelo! Jacek!

Dzieci przybiegły śmiejąc się.

Pani Le Chars zaintrygowana tem wszystkiem, starała się rozpoznać tego, kto takie wrażenie wywarł na pani de Pre-Hautre: nikogo jednak nie zauważyła.

— Przekonywa się pani teraz, że w sam czas odwołuję się do pani uprzejmości — mówiła drżąc jeszcze młoda kobieta.

Śledziła okiem tego nieprzyjaciela swego. Widziała jak skierował się do przystani, siadł w gondolę i odjechał. Wtedy dopiero odetchnęła swobodniej.

II.

DAWNA ZNAJOMOŚĆ.

Podczas gdy pani de Pre-Hautre zwierzała się w dalszym ciągu Joannie ze swych nieszczęć i przejść nie bez pewnej sprzeczności w swych opowiadaniach, co bardzo dziwiło panią Le Chars, Jacek i Gizela postępowali naprzód, rozmawiając wesoło.

Chociaż byli w jednym wieku, dziewczynka wydawała się daleko więcej przenikliwą i uświadomioną, niż jej towarzysz.

— A więc — mówiła Gizela — to ty masz tylko jednego ojca?

— No tak — odparł zdziwiony — czyż można mieć więcej?

— A ja mam dwóch — rzekła z pewną powagą dziewczynka. — Jednego bardzo kocham, a drugiego wcale, chociaż mnie bardzo pieści. To ten, który kupuje mnie i mamusi piękne suknie. Obiecał mi także i welocyped. A czy ty masz welocyped?

— Nie — wyznał Jacek, zawstydzony, że tak niżej stoi od swej przyjaciółki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odkrycie bieguna południowego.

Od wielu lat mozolą się geografowie całego świata nad odkryciem bieguna południowego, który choć łatwiej niż północny dostępny, mniej przecież jest znany badaczom, kierującym się głównie ku północy. Od roku 1900—1905 badało południowe okolice podbiegunowe pięć ekspedycyi naukowych, z których jednak żadna nie może się poszczycić takimi rezultatami, jak angielska wyprawa pod kierownictwem porucznika Ernesta Shackletona, który w początkach sierpnia 1907 wyruszył z Anglii na pokładzie „Nimroda“.



Odkrycie bieguna południowego: Porucznik Ernest H. Shackleton.

Jak doniósł telegraf, porucznik Shackleton odpowiedział najzupełniej położonemu w nim zaufaniu i zdobył sobie najpoczestniejsze miejsce między badaczami okolic podbiegunowych wszystkich czasów. Z zimowej kwatery Kap Royds przedsiębrano liczne wycieczki sankami, z których jedna, trwająca od 29 października 1908 do 4 marca, 1909 dosięgła w dniu 9 stycznia 1909 r. 88° 23' południowej szerokości geograficznej, znaleziono się więc zaledwie o 180 kilometrów od bieguna. Według nadeszłych od Shackletona relacyi, okolica przedstawia się jako równa, łagodnie wznosząca się płaszczyzna lodowa, która na najdalszym południu osięga wysokość 3000 metrów nad poziom morza; przypuszczalnie na tej samej wysokości znajdować się powinien i biegun południowy.

Prócz tego odkryto południowy biegun magnetyczny, to jest miejsce w którem igła' magnetyczna przyjmuje prostopadłe położenie. Biegun ten, podobnie jak biegun północny magnetyczny, znajduje się na lądzie stałym pod 72° południowej szerokości i 154° wschodniej długości geograficznej. Dotarli do niego w dniu 16 stycznia 1909 geolog David z Sydney, zoolog Mackay i przyrodnik Mawson z Adelajdy.



Odkrycie bieguna południowego: Okręt „Nimrod“, na którym wyruszyła na południe ekspedycya naukowa.

Trzecia wyprawa sankami pod kierownictwem Mr. Arnytage'a prowadziła rozpoczęte przez porucznika Scotta w r. 1902 badania geologiczne zachodnich pasm górskich i znajdujących się tamże lodowców. Dotarto na szczyt wysuniętego najdalej na południe, a odkrytego w roku 1840, wulkanu Erebus. Wierzchołek jego wznosi się ponad 3900 metrów nad poziom morza, a na szczycie znajduje się krater o średnicy 800 m., głęboki na 240 m. który z wnętrza wyrzuca na wysokość 600 m. potężne chmury pary i gazów siarczanych.

Na stacyi, z której wyruszały ekspedycye i w



Nowe polskie towarzystwo artystyczne: Zarząd Towarzystwa miłośników sztuki polskiej w Sosnowcu. 1. Brzosko, skarbnik. 2. Dr. Majkowski, wiceprezes. 3. Czajkowski, prezes. 4. J. Dobraczyński, dyrektor artystyczny. 5. S. Płodowski, gospodarz. 6. J. Kojusa, sekretarz. 7. W. Anczykowski. 8. A. Brzozowski. 9. Modzelewski

czasie wypraw w głąb lądu stałego, połączonych z nadzwyczajnemi niebezpieczeństwami, przedsiębrano ciągłe badania naukowe, których rezultat przedstawia się bardzo poważnie i obudzi zapewne zapał do przedsięwzięcia dalszych kroków w tym kierunku. Znane z ofiarności społeczeństwo angielskie nie poskąpi materyalnej pomocy, a zachęcone przykładem Shackletona, wyśle wkrótce nową ekspedycyę, która postępując wskazanymi drogami, dojdzie zapewne do samego bieguna, od którego obecnie dzieliła już tak nieznaczna tylko odległość.

Illustracye, zamieszczone w bieżącym numerze, przedstawiają okręt „Nimrod“, na którym wyruszyła ekspedycya i portret śmiałego podróżnika, kierownika wyprawy.



Nowe polskie towarzystwo artystyczne: Lokal towarzystwa miłośników sztuki polskiej w Sosnowcu.

Nowe polskie towarzystwo artystyczne.

Dnia 28 marca b. r. rozpoczęło w Sosnowcu w Królestwie Polskiem swą działalność wielce sympatyczne „Towarzystwo miłośników sztuki polskiej“ uroczystym obchodem. Cele wymienionego towarzystwa określił jego prezes, dr. Czajkowski, w tych słowach:

„Nasze towarzystwo ma na celu czerpanie z tej zawsze żywej krynicy, piękna i dobra, jakiem jest sztuka, czerpanie otuchy w chwilach zwątpienia i upadku ducha, czerpanie podniety do pracy ku ogólnemu pożytkowi i szczęściu, czerpanie jasnych promieni dobra i szczęścia ku upiększeniu szarego, powszedniego życia. Jego najważniejszym celem, to piękno i dobro dla jednostki, piękno i dobro dla ogółu“.

Obchód rozpoczął się nabożeństwem, odprawionem w miejscowym kościele parafialnym, poczem przybyli liczni delegaci pokrewnych zawodów w Królestwie Polskiem, oraz członkowie towarzystwa miłośników sztuki polskiej do jego lokalu, który poświęcił ks. Musielewicz. Podczas tego aktu śpiewał chór „Duda“ warszawskiego Tow. wioślarskiego i chór Tow. miłośników sztuki polskiej.

W kilka godzin później nastąpił dalszy ciąg uroczystości w Klubie sosnowieckim, gdzie odbyło się stosowne przedstawienie, rozpoczęte ślicznym prologiem pióra p. Stanisława Płodowskiego. Następnie śpiewał chór towarzystwa w sile 36 osób pod batutą p. T. Olszewskiego, deklamował p. H. Majkowski i grał na skrzypcach p. A. Brandt, dyrektor towarzystwa muzycznego w Piotrkowie, wreszcie grono amatorów znakomicie odegrało „Pana Beneta“.

W godzinę po przedstawieniu odbyła się, również w lokalu Klubu, wieczerza, do której zasiadło przeszło dwieście osób. Wygłoszono podczas niej szereg podniosłych i gorących przemówień, oraz odczytano mnóstwo nadesłanych telegramów i listów z gratulacyami. Na estradzie w tym czasie grał na skrzypcach p. S. Żarnecki i śpiewały chóry „Dudy“, „Lutni“ częstochowskiej i chór towarzystwa miłośników sztuki polskiej.

Życzymy z naszej strony młodemu, a tak sympatycznemu towarzystwu jak najpiękniejszego rozwoju, który niezawodnie przyczyni się do pomnożenia dorobku naszej kultury tam, gdzie tego tak bardzo potrzeba.

Kuracya głodowa.

Jak już w jednym z poprzednich numerów donieśliśmy, w berlińskim szpitalu Charité poddała się kuracyi głodowej panna Klara de Serval, siostrze-



Otrzeźwienie: Minister skarbu serbskiego, Prosits.



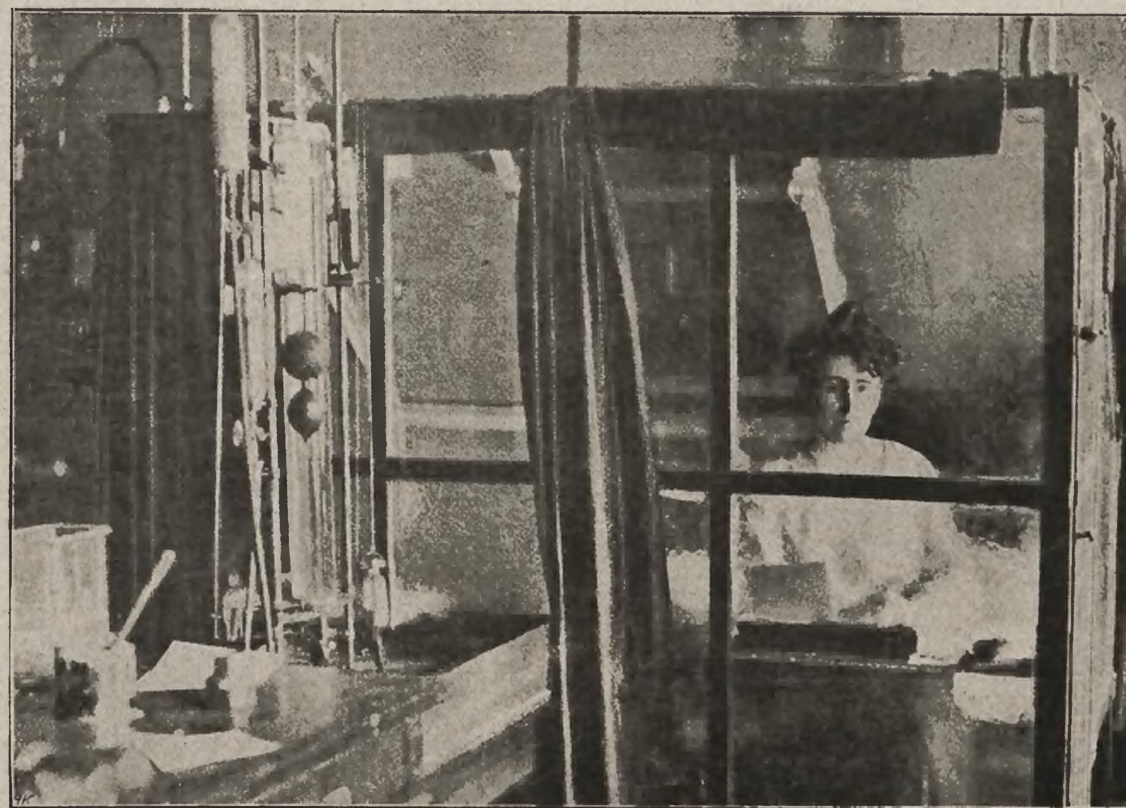
Nowe polskie towarzystwo artystyczne: Delegaci towarzystw pokrewnych

nica słynnego w całym świecie głodomora Dra Tannera. Sfery lekarskie wyzyskały należycie sposobność, prowadząc bardzo dokładne badania nad przemianą materyi w ciele ludzkiem. Owa dobrowolna głodówka, którą panna Klara przeprowadziła bardzo systematycznie i pod najściślejszą kontrolą, ma na jej zdrowie wpływać bardzo dodatnio, ma także działać odmładzająco, gdyż jak pacyentka twierdzi, jest daleko starszą, niż na oko się wydaje.

Panna Serval miała już poprzedniczki, które w szpitalu Charité poddawały się kuracyi głodowej. Jedną z nich była dwudziestotrzechletnia panna Hilda Mrotek, która niedawno dobrowolnie głodziła się przez dwadzieścia dwa dni. Większą część tego czasu spędziła pacyentka w szczelnie zamkniętym pawilonie szklanym, do którego dopływ powietrza regulowany był zapomocą odpowiedniego motoru. Urządzenie to umożliwiało także badanie powietrza wydychanego, głównie na zawartość bezwodnika kwasu węglowego, jak również i kwasów organicznych, które zwykły występować w czasie głodzenia. Zrobiono także ciekawe spostrzeżenie, że ciepłota ciała w tym czasie nie uległa wcale obniżeniu, co świadczy, iż mimo wstrzymania się od pokarmów, ciało nie straciło wcale swej energii. Dowodzi to trafności przypuszczenia, że człowiek długi czas może się utrzymać przy życiu, kosztem nagromadzonych w ciele zapasów tłuszczu, które systematycznie zostają zużyte. To też porównanie wyglądu zewnętrznego pacyentki przed rozpoczęciem kuracyi i po jej ukończeniu było wybitnie różniące się, panna Mrotek ogromnie schudła i wyglądała daleko starzej, co przemawia znów przeciw teoryi panny Serval o owem odmłodnieniu, chyba że miała na myśli odmłodnienie ducha a nie ciała.

Panna Mrotek i jej poprzedniczka z r. 1906 panna Schenk, która głodziła się przez dni ośmnaście, poddały się kuracyi głodowej jedynie w tym celu, aby uzyskać urzędowe świadectwa lekarskie, gdyż zamierzają popisywać się publicznie jako światowe głodomorki. Zarząd szpitala zgodził się na to bardzo chętnie, gdyż sfery lekarskie miały przytem sposobność przeprowadzenia nader ciekawych studyów.

Illustracya nasza przedstawia umieszczony w jednej ze sal szpitala pawilon szklany, w którym pacyentka pod ścisłą, a ustawiczną kontrolą lekarską spędza czas swej kuracyi, mogąc się z otoczeniem porozumiewać tylko na piśmie.



Kuracya głodowa: Pawilon szklany, w którym pacyentka odbywa kuracyę głodową.



...łonkowie towarzystwa miłośników sztuki polskiej w Sosnowcu.

Otrzeźwienie.

Do bardzo jeszcze niedawna, kawiarnie belgradzkie, z których jednej wnętrze przedstawia nasza rycina, były ulubionymi punktami zgromadzeń domorosłych cywilnych polityków, oraz oficerów, uprawiających politykę zamiast spełniania obowiązków swego stanu. W kawiarniach tych przy szklance wina, lub też piwa, albo częstych kielichach śliwowicy, budowano wielką Serbię, bito na miazgę znienawidzonych „Szwabów“, proklamowano księcia Jerzego przyszłym wodzem, który na czele zwycięskich junaków miał wkroczyć, jeżeli nie w mury Wiednia — to przynajmniej Budapesztu...

Tak bawiono się po kawiarniach belgradzkich przez całą zimę. Wreszcie gdy sprawa wojny lub pokoju postawiona została na ostrzu miecza, gabinet Nowakowicza zrozumiał, że dalej z ogniem igrać nie można i cofnął się na całej linii pod zgodnym naciskiem mocarstw. Obecnie opustoszały kawiarnie belgradzkie, przynajmniej z oficerów, którzy zapewne zabiorą się tem gorliwiej do pracy nad sobą i powierzonymi sobie żołnierzami, ludność zaś stolicy, otrzeźwiawszy z upojeń wojennych, powróci do swoich normalnych zajęć.

Przyznać trzeba, że położenie gabinetu serbskiego teraz wcale do przyjemnych nie należy. Piwo, którego inni nawarzyli, on musi wypić. Z jednej strony ma doprowadzić do porozumienia z Austro-Węgrami, z drugiej — uspokoić wzburzenie w kraju



Otrzeźwienie: Serbski minister sprawiedliwości, Ribarats.



Otrzeźwienie: Pasits, serbski minister robót publicznych.

i bronić zagrożonej dynastyi, a wreszcie dźwigać na sobie odpowiedzialność za porażkę Serbii, na którą złożyło się mnóstwo przyczyn, leżących poza obrębem jego zakresu działania.

W dzisiejszym numerze podajemy portrety najwybitniejszych członków gabinetu, o którym mowa, a od którego taktu i energii będzie zależało gruntowne otrzeźwienie Serbów z mrzonek, niemożliwych do urzeczywistnienia.



Ostrzeżenie: Prezydent gabinetu serbskiego, Nowakowicz.

Jubileusz zasłużonego pracownika.

W nowożytnej technice dziennikarskiej czynność działu administracyjnego jakiegoś czasopisma rozstrzyga nieraz o jego powodzeniu. Największe wysiłki intelektualne redakcyi na nic się nie przydadzą, jeżeli administracya, przez której ręce przechodzi *nervus rerum*, nie umie zarządzić nim i nie pokieruje wydawnictwem tak, aby pismo przez jej punktualność, rzutkość i sprężystość, wyrobiło sobie zaufanie i sympatye. Nic tedy dziwnego, że każde poważne czasopismo stara się dobierać na szefa swej administracyi człowieka, który dawałby gwarancyę, że będzie w tym duchu postępował i że gdy podobnego pracownika znajdzie — to umie go ocenić.

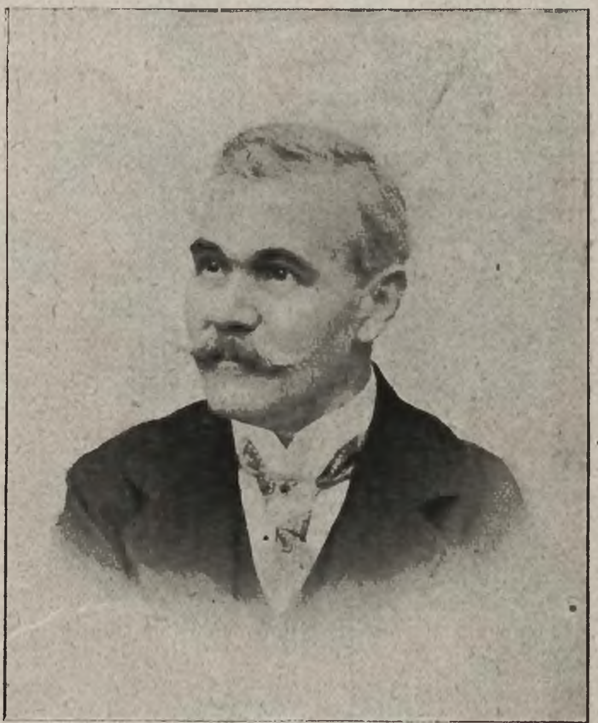
Takiego właśnie szefa administracyi posiada *Czas* krakowski w osobie p. Henryka Müldnera, który lat temu czterdzieści objął w dniu 1 kwietnia odpowiedzialne stanowisko kierownika administracyi tego dziennika. Rocznicę tę obchodzono w gronie redakcyi i administracyi pomienionego pisma, przyczem niebrakło licznych dowodów uznania i sympatyi dla zasłużonego jubilata, którego portret podajemy w niniejszym numerze.

Urodził się on w Krakowie w 1845 roku i tam szkoły ukończył, poświęciwszy się pierwotnie zawodowi księgarskiemu. Objąwszy kierownictwo administracyi *Czasu*, oddał mu się z całym zapałem i pilnością. Przez jego ręce przeszły miliony w ciągu lat czterdziestu, nie licząc tych sum, któremi administrował jako skarbnik w towarzystwie muzycznem, towarzystwie tatrzańskiem, w towarzystwie ogrodniczem i w stowarzyszeniu nauczycielek. W tem ostatniem stowarzyszeniu położył szczególniejsze zasługi, przyczyniwszy się w znacznej mierze swą przezorną a gorliwą administracyą funduszów do tego, że posiada ono obecnie własną realność.

Jubilat imał się także często pióra i umieszczał w odcinku *Czasu* wrażenia ze swych licznych wycieczek za granicę. Oprócz tego zaś drukuje często w *Okólniku rybackim* i w *Miesięczniku Towarzystwa ogrodniczego* fachowe a zajmujące artykuły. W Arcybractwie Miłosierdzia pracował lat 20, a w towarzystwie dobroczynności zasiada od 1876 roku.



Otrzeźwienie: Jedna z kawiarń belgradzkich w czasie naprężenia stosunków między Austro-Węgrami a Serbią.



Jubileusz zasłużonego pracownika: Henryk Müldner, szef administracyi *Czasu*.

Wzorowy obywatel, sprężysty administrator i człowiek z charakterem pełnym zalet, zjednał sobie p. Henryk Müldner grono licznych przyjaciół wśród wszystkich, którzy często z racyi jego czynności zawodowych, czy też z okazyi jego czynności obywatelskich z nim się kiedykolwiek zetknęli. Wszyscy ci bowiem mieli dobrą sposobność zaznajomienia się z jego taktem, z jego uprzejmością wielką i nadzwyczajną uczynnością.

To też w dniu uroczystym otrzymał zasłużony Jubilat mnóstwo dowodów życzliwości i sympatyi oraz życzeń, do których i my się przyłączamy z serdecznem *ad multos annos*.

Dr. A. WYLM.

KORALOWY RÓŻANIEC

2 Romans psychiczny. Ciąg dalszy.

— Jaki?

— Nie mogę go jeszcze określić. Trzeba zaczekać na dalszy bieg wydarzeń sennych. Lecz to jeszcze nie wszystko. Dlaczego nie może pan przekroczyć granic terasy? Dlaczego nie mógł pan z początku odwrócić oczu od prawego okna? Czy istnieje jakaś łączność między tymi dwoma faktami?

— Nie widzę żadnej.

— Zastanówmy się. Dwa fakty mamy stwierdzone: 1) nie może pan odwrócić oczu od okna, 2) jest pan w stanie chodzić po terasie, ale tylko między drzwiami, a tem oknem. Co z tego można wywnioskować?

— Że mogę dokonywać czynów, które mnie zbliżają do okna lub drzwi.

— Czy nic więcej?

— Nie.

— Powróćmy znowu do faktów. Co pana przyciąga, okno czy drzwi?

— Ani jedno, ani drugie, ponieważ mogę chodzić od okna do drzwi.

— A więc?

— Niczego więcej nie domyślam się.

— Jeżeli nie działają na pana same przez się, ani drzwi, ani okno, w takim razie dokonywa tego co innego: coś, co jest w związku z drzwiami i oknem.

— Tak, to prawda!

— Cóż więc to jest?

— Jakiś pokój bez wątpienia. Wskazuje go okno, a drzwi są zwykłym środkiem dostania się do wnętrza domu. Jest to zupełnie naturalne! Nigdy nie wpadłbym na to bez pana. Do czego jednak to nas doprowadzi?

— Zaraz pan zobaczy. Istnieje jakaś siła obca w panu, która zbliża pana we śnie do tego, co my uważamy za jakiś pokój. Trzeba zaspokoić tę siłę, kierującą pańskimi krokami, lecz która zarazem nie pozwala panu oddalić się od celu, jaki sama wskazuje. Należy wejść do tego pokoju.

— Zastosuję się do rady doktora, chciałbym jednak poznać pańskie zdanie o tem wszystkiem. Rozumiem teraz, dlaczego profesor Durieux przysłał mnie do pana. Zdaje mi się, że pan daleko więcej wie o mym wypadku, niż pan to okazuje, a bardzo pragnę wiedzieć, co pan myśli.

— Nic nie mogę powiedzieć, bo tyle wiem, co i pan. Mogę wprawdzie stawiać hypotezy, lecz do niczego one nas nie doprowadzą. Niech pan sam się obserwuje i dojdzie do jakich pozytywnych wyników.

Przy tych słowach rozstaliśmy się, przedtem jednak poprosiłem go, by notował szczegółowo każdy sen.

Kilka dni przeszło, a mój pacyent nie dawał żadnego znaku życia. Zacząłem już się dziwić, dlaczego nie przychodzi, gdy otrzymałem jego wizytę. Zauważyłem w nim zmianę, miał weselszą i spokojniejszą minę.

— Sen mój — rzekł mi — przybrał formy romantyczne i sprawia mi teraz wielką radość. Bardzo jestem panu wdzięczny, że nie polecił mi pan żadnego środka do jego zniweczenia, byłbym bowiem teraz zupełnie zmartwiony. Dziękuję, że pokierował mnie pan swemi radami i dał mi przez to wielką przyjemność. Wiem, że jest ona złudną i że stwarza ją moja własna wyobraźnia, widzenie to jednak ma dla mnie pozory rzeczywistości: chciałbym, by ono wiecznie trwało.

— Och! Mój młody przyjacielu — odpowiedziałem mu z uśmiechem — cóż wywołało taką przyjemną zmianę w pańskich snach?

— Stało się to w najprostszy sposób na świecie. Uczyniłem to, co pan mi wskazał: wszedłem do domu, do pokoju oświeconego, przez to okno.

— Niech mi pan to opowie.

— Po wyjściu od pana długo zastanawiałem się nad radami, jakie mi pan dał. Oczekiwałem nocy z pewną niecierpliwością, lecz umysł mój tak był pobudzony, iż dopiero dość późno zdołałem usnąć. Wreszcie ogarnął mnie sen i przyniósł zwykłe swe zjawisko. Zachowałem we śnie jasną świadomość siebie i pamięć o naszej rozmowie. Szedłem bardzo szybko, przebyłem ogrodzenie, minąłem aleje parku, wstąpiłem na schody i bez najmniejszego wahania wszedłem do środka domu. Drzwi nie przedstawiły mi żadnego oporu; znalazłem się w dość obszernej hali z wysokim, rzeźbionym kamiennym kominkiem w głębi, na prawo drewniane schody prowadziły na pierwsze piętro. Na wysokości tego piętra dokoła hali znajdowała się galerya. Śmiało wszedłem po schodach i dostałem się na korytarz z drzwiami po obu stronach; wybrałem sobie ostatnie po prawej stronie i minąłem je, nie spostrzegając nawet tego. Ujrzałem się w panieńskim buduarze, obitym niebieską materyą; stały w nim krzesła, fotele i małe stoliki z różnymi drobiazgami. Koło łóżka leżało w nieładzie ubranie. Na kominku palił się jeszcze ogień. Chociaż było ciemno, widziałem jednak każdy przedmiot. Najładniejszem było łóżko w stylu Ludwika XV ze złoconego drzewa, znajdowało się ono po prawej stronie drzwi. Spała w niem na prawym boku z twarzą, zwróconą do mnie, młoda panienka. Nie widziałem jeszcze nigdy nic tak uroczego. Proszę wyobrazić sobie świeżą twarzyczkę o delikatnych rysach, różowej cerze, długich czarnych rzęsach, purpurowych, lekko zarysowanych, na poły otwartych ustach, które ukazywały śnieżno-białe zęby. Fala ciemnych włosów, związanych niebieską wstążką, zdobiła tę piękną postać. Z największą rozkoszą przypatrywałem się jej i od chwili, gdy dowiedziałem się, jak dostać się do tego pokoju, spędzam w nim na marzeniu wszystkie swe noce. Siadam koło łóżka, patrzę na tę młodą postać i doznaję przy niej jakiejś rozkosznej błogości. Przyglądam się jej bez znużenia. Każdej nocy odnajduję ją w swym śnie; wszystkie przeszkody, które mnie dawniej zatrzymywały, znikły bez śladu i jawię się wprost w jej pokoju. Znam jego położenie, pamiętam wszystkie meble, drobiazgi, książki, najjaśniej jednak trwa w mej myśli ta urocza postać uśpiona koło mnie, zawsze piękna, zawsze nadobna. Pozostaję przy niej bez ruchu, śledzę jej oddech, który unosi zlekka okrywającą ją kołdrę; uważam na jej ruchy, obawiam się, by się nie odkryła i nie czuła zimna: czuwam nad nią z czułością i chciałbym, by sen mój nigdy się nie skończył.

— A czy tylko — rzekłem z pewnem wahaniem — pan się jej przyglądał... bez dotykania?

— Ani na myśl mi nawet to nie przyszło — odrzekł Leyre z naiwną szczerością.

Uśmiechnąłem się, on zaś zaczerwienił się, jak młoda panna. Ten młody, piękny mężczyzna zachował całą swą świeżość; chemia mniej miała dla niego tajemnic, niż miłość i uczucia jego nie znały zapewne jeszcze sposobu zrealizowania się.

— Nie pomyślał więc pan nawet — rzekłem z uśmiechem — by pocałować to piękne stworzenie?

— Zupełnie nie.

— Podziwiam pana, mój młody Scypionie.

Zamyśliłem się przez chwilę. Czy zachęcić Leyre'a do posunięcia naprzód jego przygód? Nie! Pozostawić lepiej rzeczy ich biegowi, natura sama się odezwie w odpowiedniej chwili; zresztą jeżeli nieznany wpływ wywołuje w młodym chemiku podobne sny, prawdopodobnie działanie jego nie zatrzyma się na tem. Da się odczuć i wywrze swą wolę. Spodziewałem się, że w tych snach zjawi się jakaś osoba. Jeżeli moje hypotezy metapsychiczne były słuszne, to ta młoda panna, która się śni Leyre'owi musi być właścicielką różańca koralowego. Mogłem bez popełnienia żadnej niewłaściwości sprawdzić dokładność mego przypuszczenia. Milczenie moje musiało trwać pewną chwilę, podnosząc bowiem oczy, spotkałem się z pytającym wzrokiem Leyre'a.

— Pańskie opowiadanie — rzekłem — staje się z każdym dniem coraz bardziej interesującem. Mówi pan, że doznajesz błogości przy tej śpiącej pannie. Czy nigdy jeszcze nie doświadczył pan podobnego uczucia?

— Nie przypominam sobie.

— Dobrze! Na razie nie mogę dać panu żadnej rady; niech pan w dalszym ciągu prowadzi swe spostrzeżenia i powiadamia mnie o nich. Co pan uczynił z różańcem?

— Mam go u siebie w szufladzie biurka.

— Niech go pan weźmie wieczorem na siebie i zawiesi na piersi przed udaniem się na spoczynek.

— Dlaczego mam to zrobić, w jakim celu?

— Proszę nie żądać tłomaczenia, którego nie mogę jeszcze dać. Spełnieniem mej rady nic pan nie ryzykuje.

— Nie wątpię — odparł Leyre, śmiejąc się. — W każdym razie jest to dziwne zlecenie.

— Poczekajmy, a zobaczymy, co ono sprawi.

Pożegnałem się ze swym pacyentem, zapraszając go za tydzień na śniadanie. Będziemy mieli więcej swobodnego czasu do rozmowy.

Młody uczony przybył punktualnie w oznaczonej porze. Po zjedzeniu śniadania przeszliśmy do mego gabinetu. Kazałem przynieść tam czarną kawę z likierami, których jednak mój gość nie używał. Wkrótce po poruszeniu kilku błahych tematów, zwróciliśmy się do zajmującej nas sprawy.

— Sprawy moje komplikują się w niezwykły sposób — zaczął Leyre swe zwierzenia — przedewszystkiem muszę pana uprzedzić, iż zdaję sobie zupełnie sprawę, dlaczego mi pan polecił zawiesić na piersi różaniec. Wydało mi się to dziwacznem, tak jednak panu ufam, iż nie mogłem przypuścić, by pan mi radził coś nierozsądnego. I przekonałem się, że pan miał racyę. Gdy się położyłem do łóżka, przyczepiłem futerał z różańcem do koszuli, poczem zagasiłem lampę i czekałem na skutek tego. Muszę pana zapewnić, iż nie miałem najmniejszej myśli o tem, co się może stać. Jakież było moje zdziwienie, gdy nagle uczułem, że przenika mnie jakieś łagodne ciepło. Pochodziło ono zapewne z futerału lub też z różańca. Zwolna ciepło to, które wydało mi się — powiem zaraz rzecz nierozumną — jakby pozbawione temperatury, przejęło mnie całego. Doznawałem wielkiej błogości, zupełnie takiej samej, jak we śnie przy tej młodej pannie. Identyczność tych dwóch uczuć była tak widoczną, iż nie zawahałem się uznać, że pochodzą one z jednego źródła i nabrałem przekonania, że różaniec koralowy należy do młodej panny. Wniosek ten uważam za niemożliwy do przyjęcia, gdyż ta piękna osoba jest tylko płodem mojej wyobraźni; mimo całej nieprawdopodobności nie mogłem go jednak zlekceważyć. Buntuje się coś we mnie przeciw sądom rozumu i po raz pierwszy w życiu odczuwam w sobie walkę rozumu swego z własną imaginacyą: ona podtrzymuje rzeczywistość związku różańca z młodą panną, rozum krytykuje surowo te zboczenia wyobraźni. Usnąłem dość szybko i znalazłem się odrazu w buduarze mej nieznajomej. Spała ona spokojnie; ogień palący się na kominku roznosił dokoła ciepło. Osobiście nie doznawałem żadnego wrażenia, widziałem jednak, że mojej tajemniczej nieznajomej jest gorąco. Ściągnęła z ramion kołdrę i poprzez pół otwartą koszulę okazała delikatną, śnieżną szyjkę z dwiema kropelkami potu, podobnemi do dwóch brylancików. Wyznam doktorowi, że ciężkie warunki mojej młodości nie pozwoliły mi zaznać przyjemności, jakich używali moi koledzy. Nie znałem łatwych rozkoszy i nie marzyłem nigdy o kobietach. Czuję jakąś niechęć do banalnych awanturek i żądać będę od swej przyszłej towarzyszki, nietylko całkowitego oddania ciała, ale także duszy i umysłu. Pojmuję miłość jako zlanie się zupełne dwóch dusz, które reprezentuje symbolicznie związek ich ciał. Zresztą z powodu śmierci mego ojca, matka pozostała bez żadnych środków i zmuszony jestem wskutek tego pracować bez wytchnienia, by zadość uczynić potrzebom jej przedwczesnej starości. Powodzenie swe zawdzięczać mogę tylko swej obowiązkowości, która mnie zniewala do bezustannej pracy. Za wiele jednak mówię o sobie, co proszę mi wybaczyć. Po raz pierwszy dopiero ujrzałem się w towarzystwie kobiety rozebranej. Lewa ręka tej młodej panny zwieszała się z łóżka. Nigdy jeszcze nie oglądałem piękniejszej, o tak białej, przeźroczystej skórze. Patrzyłem na lazur żyłek, rozsnutych po całej ręce, przyglądałem się cienkim długim palcom, o różowych lśniących paznokciach. Ręka ta pociągała mnie nieodparcie. Ukląkłem przy łóżku i dotknąłem się końców palców mej nieznajomej, lecz nadzwyczaj lekko, by nie obudzić uśpionej. To zetknięcie się z jej ciepłemi palcami, które wydały mi się delikatne, jak muślin, utkany z przędzy pajęczej, wywołało we mnie wkrótce dziwne uczucie. Uważałem na siebie pilnie, posłuszny pańskim zleceniom i zdołałem analizować swe wrażenia, jakbym analizował jaką ciecz w swem laboratoryum. Z początku byłem przejęty kontemplacyą tego uroczego stworzenia, śpiącego koło mnie; błądziłem oczami po jej delikatnej ręce, zaokrąglonem ramieniu, po jej alabastrowych piersiach, po całej postaci, której nie przestawałem podziwiać. Zwolna pewne specyalne uczucie zwróciło moją uwagę. Zdawało mi się, jakby lekki elektryczny prąd przebiegał po mojem ramieniu. Wrażenie to było bardzo wyraźne, choć i bardzo słabe. Skóra na rękach i palcach wydała mi się podziurawioną mnóstwem małych ukłuć, tak, jakbym ręce oparł na szpilkach; miałem złudzenie, jakby lekkie tchnienie dobywało się z tych tysięcy dziurek; uczucie to nie było zresztą przykre. Zdziwiło mnie to bardzo, gdyż wrażenie to było dla mnie zupełnie nowem. Odczuwałem je przez blisko kwadrans, potem ono zmalało, nie ustępując zupełnie. Jednocześnie przepełniony byłem niezwykłą sympatyą dla tej młodej panny, którą trzymałem za rękę. Ten lekki prąd elektryczny jakby przechodził z mojej do jej ręki i istotnie sądziłem, że przelewam w nią własną energię; wydało mi się, że stała się ona częścią mnie. Upłynęło kilka minut; sympatya moja zdawała się rosnąć. Dołączyła się do niej i głęboka czułość; chciałem wziąć w swe ręce tę piękną postać i ukołysać, jak ukochane dziecko. Chciałem ją pieścić, pokryć pocałunkami jej oczy, usta, szyję, całe jej ciało.

Pragnąłem umrzeć, by oszczędzić jej przykrości. Trudno mi przedstawić panu to wrażenie i uczucie, gdyż było to zarazem jedno i drugie. Starałem się wytłomaczyć to sobie, spostrzegłem jednak, że żadnemi słowami nie zdołam tego wyrazić. Trwało to kilka minut. Ze stanu tej błogości wyrwany zostałem przez jakieś lodowate wrażenie. Ręka, którą trzymałem, oziębła, jakby schudła, zeszczuplała, jakby krew z niej wypłynęła; znikła również i różowa cera na twarzy, która stała się bladą, marmurową. Przytem twarz jej zmniejszyła się, policzki zapadły, oczy podkrążyły się. Chciałem się podnieść i zawołać na pomoc, obudzić ją, nie mogłem jednak uczynić żadnego ruchu. Byłem sparaliżowany, jak w początkowych swych snach, głowa mi się skłoniła na bok, przed sobą zaś ujrzałem lekką, świecącą się mgłę o zielonkawym odcieniu. Mgła ta nie miała żadnej określonej formy, nad piersiami zaś nieznajomej stanowiła jakby ruchomą plamę. W chwili tej odzyskałem swobodę ruchów głowy, nie mogłem jednak cofnąć swej ręki od uśpionej. Zwróciłem znowu wzrok na nią i uderzyła mnie zmiana, jaka w niej zaszła: ciało jej zgięło się, skurczyło, wyglądała jakby ulepiona z wosku. Mgła kondensowała się, tracąc swój blask pierwotny. Naraz wrażenie prądu elektrycznego wzmogło się gwałtownie, siły zaś me malały: doznałem zawrotu, oczy przymknąłem, głowę zwiesiłem na ramieniu, serce biło mi silnie, przygniatało mnie całego jakieś niewytłomaczone uczucie smutku. Nie wiem jak długo trwało to pewnego rodzaju omdlenie; gdy podniosłem głowę i rozwarłem oczy, spostrzegłem z lewej strony koło siebie jakąś stojącą postać; podobną ona była do tej młodej panny, może tylko była trochę wyższa. Lewa jej ręka spoczywała w mojej. Postać ta miała oczy zamknięte i zdawała się spać. Uczucie czułości i pieszczoty znikło; postać ta wydała mi się silną, podobną do mnie, nie potrzebującą mej pomocy; miałem wrażenie, że stała się ona mną, a ja nią, że złączyliśmy się duchowo, że bez niej życie moje ustanie; w tem zjednoczeniu się siebie z tą postacią wyczuwałem jakąś potęgę nadludzką, źródło nieskończonych radości, lecz zarazem i nowych nieznanych jeszcze obowiązków. Byłem ogarnięty miłością, nie skierowaną jednak do żadnej szczególnej osoby, lecz do całego świata. Czułem się jakby złączony solidarnością ze wszystkiemi żyjącemi na świecie stworzeniami; litość jakaś napełniała mi serce z powodu nieustannych wysiłków, a przeważnie bezużytecznych, jakie czynią żyjące stworzenia w pogoni za lepszym, doskonalszym światem i sam się radowałem, że dostąpiłem wreszcie tego wyższego życia, szczęście, które polega na łączności mej duszy z duszą osoby, stojącej koło mnie.

Leyre przerwał swe opowiadanie; wyrażał się z niezwykłą żywością i tak mnie zajął, iż zapomniałem zupełnie o kawie i cygarze, które zagasło.

— Nudzę pana opowiadaniem swych snów metapsychicznych, chciałem jednak wyłożyć panu szczegółowo wszystkie swe wrażenia.

— Nietylko pan mnie nie nudzi — odparłem — ale nadzwyczaj przejmuje swem opowiadaniem. Pańskie wrażenia metapsychiczne są niezwykle ważne i doniosłe. Czy nigdy pan nie czytał prac okkultystycznych, spirytystycznych?

— Nie, nigdy.

— Czy nie rozmawiał pan kiedykolwiek z osobami, wyznającemi podobne doktryny?

— Nie.

— Sen pański zapewne nie skończył się na tem?

— Trwał on jeszcze. Myśli te, których w nim doznawałem, sprawiały mi wielką radość. Wśród tych rozmyślań spostrzegłem lekki ruch ręki, którą trzymałem. Podniosłem się z klęczek i spojrzałem na postać, stojącą koło mnie. Była to ta śpiąca panna o tych samych rysach, tej samej piękności i jasności. Ubrana była w lekki koronkowy peignoir; patrzyłem na nią, ujrzałem jak wolno otwiera oczy, spogląda ze zdziwieniem dokoła siebie i spostrzega mnie. Mogłem dojrzeć wielkie czarne oczy, ukryte pod długiemi rzęsami. Wkrótce jednak stały się one przerażone i postać ta zwróciła się szybko do młodej panny, która obudziła się z krzykiem. Obudziłem się i ja z silnem biciem serca i szumem w uszach; obawiałem się, czy nie straciłem przytomności. Po chwili odzyskałem spokój: było pół do trzeciej w nocy. Wrażenie snu tego było tak silne, iż nie mogłem już zasnąć i musiałem wstać, by w pracy zapomnieć o nocnych przygodach. Nie spałem i następnej nocy; włożyłem na siebie różaniec, nie przyniósł on jednak żadnej korzyści, odczuwałem natomiast coś w rodzaju lęku. Po tej białej nocy byłem bardzo zmęczony; czułem się niedobrze i wcześnie położyłem się spać. Włożyłem na siebie różaniec i zaraz zasnąłem. Sen mój powrócił i był zupełnie taki sam, jak ten, co panu już opowiedziałem. Zauważyłem jednak w pokoju zaświeconą małą lampkę nocną. Ukląkłem przy łóżku; ręce śpiącej panny były pokryte kołdrą, łatwo ją jednak mogłem przeniknąć i uchwycić jej lewą rękę. Powtórzyły się te same sceny. Młoda panna przyjęła wyraz trupi, podczas gdy stojąca koło mnie postać przybrała jej rysy. Doznawałem tych samych uczuć i myśli. W końcu postać ta wcieliła się w śpiącą i obudziła się z krzykiem, budząc i mnie. Mogłem jednak znowu



Ręka, którą trzymałem, oziębła.

usnąć i resztę nocy spędziłem bez żadnego przypadku. Przystępuję teraz do czwartej nocy. Przedstawia ona szczególne właściwości. Nie potrzebuję dodawać, że zawsze kładę się spać wśród jednakowych okoliczności. Zjawiłem się w zwykłym pokoju, był on jednak pusty; coś mnie popchnęło do ściany, przez którą dostałem się do sąsiedniego pokoju. Była to dość obszerna sypialnia, stały w niej dwa łóżka: meble były w stylu Empire z koronami na oparciach krzeseł. Na kominku znajdował się wielki zegar z białego marmuru ze złoconą postacią Napoleona I na koniu. Podaję te szczegóły dlatego, by pan sam się przekonał, jak wszystko dokładnie spostrzegałem. Moja młoda panna spała na jednem z łóżek, stojącem po prawej stronie, drugie z lewej strony zajmowała jakaś starsza dama. Oba te łóżka stały obok siebie pod jednym baldachimem. Jak już powiedziałem, coś mnie pchało nieodpornie do młodej panny. Wziąłem ją za rękę i wszystko odbyło się po dawnemu. Gdy śpiąca obudziła się z krzykiem, dostrzegłem, że ocknęła się ze snu i starsza dama, poczem widzenie me zwolna zacierało się i wkrótce znikło zupełnie. Rano wstałem bez najmniejszego zmęczenia. Piątą noc spędziłem nie bardzo przyjemnie. Byłem do pół do trzeciej w nocy na koleżeńskiej kolacyi, wskutek czego położyłem się późno spać i nic nie śniłem. Szósta noc zaczęła się tak, jak czwarta. Jawiłem się w sypialni w stylu Empire; młoda panna i starsza dama zajmowały te same łóżka. Nie będę powtarzał panu znanych już szczegółów, dodam tylko, iż postanowiłem nie budzić się na okrzyk młodej panny. Chęć ma spełniła się; postać ta zjawiła się przy mnie wcześniej, niż pierwszego dnia. Otworzyła oczy i zamieniła się w młodą pannę, która obudziła się z krzykiem. Nie zląkłem się tym razem i pozostałem w pokoju. Ujrzałem, jak piękna nieznajoma podniosła się z posłania, przykładając rękę do serca. Starsza dama zerwała się z łóżka i usłyszałem, jak mówiła. Nadmienić tu muszę, że głosy zdawały się przychodzić zdaleka, były jednak zupełnie wyraźne.

— Co ci jest, moje dziecko? — zapytała dama.

— Och! Mamo, widziałam tego człowieka.

— Ale to sen tylko, moja droga; tak jesteś wrażliwa, iż wyobrażasz sobie, że każdej nocy widujesz swego włamywacza. Przekonałaś się teraz, że to tylko sen. Idź i sprawdź wszystkie drzwi i okna.

— O, nie, mamo! Ja boję się wstawać.

Matka nieznajomej zadzwoniła, wowołając przytem głośno:

— Maryo! Maryo!

— Do pokoju weszła silna dziewczyna, ubrana w wełnianą spódnicę i okryta szalem.

— Słucham, proszę pani — odezwała się.

— Panna Łucya znowu miała swe widzenie; śniła, że widzi przed sobą jakiegoś mężczyznę z długą czarną brodą. Idź, popatrz pod łóżkami, za firankami, obejrzyj drzwi, czy wszystko w porządku.

Marya zaczęła spełniać skrupulatnie rozkaz. Przechodziła przezemnie kilka razy, nie spostrzegając mojej obecności. Przyglądałem się przez ten czas Łucyi. Siedziała skulona na łóżku z przestraszoną miną, z kołdrą podciągniętą aż pod brodę. Zbliżyłem się do niej i mogłem podziwiać jej wielkie ciemne oczy.

— Widzisz, moje dziecko, że twe obawy są bezpodstawne — rzekła matka — gdy Marya przeszukała bez żadnego skutku wszystkie kąty. Połóż się i zaśnij.

— Łucya nic już nie odpowiedziała i matka zagasiła świecę. Pomimo ciemności, jakie zapanowały, każdy przedmiot rozróżniałem wyraźnie, wszystko wydało mi się oblane jakiemś bladem światłem, jakby pochodzącem od blasku księżyca. Łucya, imię to bardzo mi się spodobało, zdecydowała się położyć; nie zasnęła, gdyż ciągle poruszała się na łóżku. Chciałem odsunąć się od niej, nie udało mi się to jednak; próbowałem różnych ruchów, lecz zdołałem tylko położyć swą lewą rękę na jej oczach. Pozostawałem tak bezwładny przez kilka minut; niepokój Łucyi wkrótce ustał, oczy jej się przymknęły i po chwili zasnęła. Przyszło mi wtedy na myśl pochylić się nad nią i powiedzieć jej do ucha, by się nie lękała, gdy ujrzy mnie w swym pokoju. Patrzyłem na nią, jak śpi spokojnie, gdy naraz uczułem, że coś mnie odciąga w przeciwną stronę; starałem się opierać temu, lecz próżne były me wysiłki, gdyż zaraz znalazłem się w swym pokoju: obudziłem się. Nie doznawałem żadnej słabości. Wczoraj byłem bardzo zajęty przez cały dzień i pracowałem nad zredagowaniem raportu laboratoryjnego do godziny trzeciej w nocy. Gdy się położyłem spać, nie śniłem już nic. Oto, panie doktorze, sprawozdanie z mego ostatniego tygodnia.

Podziękowałem panu Leyre za opowiadanie, lecz ponieważ nie mogłem mu dać żadnych nowych wskazówek, prosiłem go tylko, by znowu za tydzień przybył do mnie na śniadanie.

W oznaczonym dniu zjawił się u mnie w samo południe mój pacyent; był w doskonałym humorze, jadł z apetytem, a gdyśmy zostali sami, zaczął zaraz mówić o swych nocnych przygodach.

— To, co przeszedłem w ostatnich dniach, wyda się panu jeszcze mniej prawdopodobnem, niż moje poprzednie historye. Zanim jednak wyłożę to, pozwoli pan, że zadam kilka pytań.

— Proszę bardzo — odrzekłem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Śmierć wroga polskości.

W końcu ubiegłego miesiąca zmarł w Cieszynie, licząc lat 75, dr. Teodor Haase, superintendent kościoła ewangielickiego na Śląsku i Morawach, oraz proboszcz cieszyński. Była to osobistość dobrze znana nietylko na Śląsku, ale wszędzie tam, gdzie rozbrzmiewa polska mowa, jako jeden z najzaciętszych wrogów polskości, pomimo że urodził się we Lwowie, gdzie ojciej jego był superintendentem ewangielickim na Galicyę.



Śmierć wroga polskości: Dr. Teodor Haase.

Od roku 1865, gdy został wybrany na pastora w Bielsku, aż do ostatniej chwili, tak w życiu politycznem, jak i prywatnem czynił wszystko, aby zwalczać godziwymi i niegodziwymi sposobami żywioł polski w prastarej dzielnicy Piastów. W tym duchu postępował jako członek Sejmu śląskiego, jako członek Rady państwa, w której zasiadał 32 lat a wreszcie jako członek Izby panów, dokąd go cesarz powołał w 1905 roku.

Haase, opanowany przez *idée fixe*, że Niemcy powinni zostać jedynymi panami Śląska, odmawiał Polakom wszelkich praw politycznych i narodowościowych. Uznając zaś doniosłość agitacyjną prasy, założył za niemieckie pieniądze czasopismo *Nowy Czas*, wydawane po polsku ale skierowane przeciw polskiej narodowości i jej aspiracyom.

Wszystkie te jednak intrygi w gruncie rzeczy obróciły się przeciw niemu, bo polski lud ewangelickiego wyznania na Śląsku przyszedł w ostatnich czterdziestu do poczucia narodowego i stanowi dziś potężną ostoję polskości na kresach zachodnich. Zupełne usunięcie się Polaków od wzięcia udziału w jego pogrzebie, który się odbył w Bielsku, najlepiej dowodzi, jakie uczucia żywili wobec niego nawet współwiercy innej niż on narodowości.

Primaballerina śpiewaczką.

Warszawska publiczność teatralna, a zwłaszcza zwolennicy i wielbiciele baletu, mieli w ostatnich dniach niemałą sensacyę. Oto znana i ceniona primaballerina teatru „Rozmaitości", p. Lucyna Messalówna, spróbowała swych sił na polu poważniejszej sztuki, bo jako śpiewaczka operetkowa.

Debiut jej w „Baronie cygańskim" ściągnął oczywiście tłumy publiczności do teatru, bo każdy z bywalców teatralnych rad był posłuchać ulubionej baletnicy w roli śpiewaczki. A debiut udał się nadspodziewanie dobrze. P. Messalówna śpiewała partyę cyganki Safi i zaprodukowała się głosem z natury bardzo mile brzmiącym, o dobrej emisyi, w tonie silnym i czystym. Wymowa prawie bez zarzutu. I mimo, że technika śpiewacza debiutanki pozostawiała nie jedno do życzenia, mimo iż w górnych tonach nie czuła się młoda śpiewaczka zupełnie pewną, mimo to jej wysokie istotnie zdolności i przyrodzone zalety oraz doskonała szkoła wywarły bardzo korzystne wrażenie.

Także gra sceniczna p. Messalównej była bardzo dobra, mimo iż pierwszym występom towarzyszyła krępująca trema i mimo że debiutanka niema w tym kierunku rutyny. Nie mało też przyczyniła się do powodzenia jej sympatyczna ze wszech miar powierzchowność, urok młodości i piękności.

To też powinszować można debiutantce śmiało i wyrazić nadzieję, że stanie się kiedyś pierwszorzędną siłą operetkową.



Primaballerina śpiewaczką: Lucyna Messalówna.

Kurs handlowy dla majstrów.

Upadek drobnego przemysłu i rękodzieła ma bezsprzecznie i w tem przyczynę, że majstrowie i przedsiębiorcy poza uzdolnieniem fachowem, nie mają dostatecznego wykształcenia pod względem handlowości i tym podobnych przedmiotów naukowych, niezbędnych dziś w życiu przemysłowem.

Dla zaradzenia złemu stworzyły odpowiednie czynniki kursa dla majstrów, na których to kursach uczestniczący w nich majstrowie uzupełniają swe fachowe wykształcenie nauką innych przedmiotów.

Jeden z takich kursów, który trwał w akademii handlowej we Lwowie około 5 miesięcy, zakończył się w piątek ubiegłego tygodnia. Zapisało się zrazu przeszło 30 majstrów, wytrwało jednak do końca zaledwie 16. Nauka odbywała się codziennie z wyjątkiem sobót i niedziel, po dwie lub trzy godziny dziennie. Wykładali: prof. Góra, dyrektor handlowej szkoły kupieckiej, matematykę i stylistykę; dr. Ciompa prawo handlowe i wekslowe i prof. Christof buchalteryę. Egzamina zdało: 4 szewców, 2 krawców, 3 stolarzy, 1 stelmach, 1 ogrodnik, 1 fortepianista, 1 pozłotnik, 1 blacharz, 1 kamieniarz, 1 introligator.

Kierownictwo nad kursem miał z urzędu p. Antoni Pawłowski, dyrektor akademii handlowej. Majstrowie, uczęszczający na kurs, odnieśli wielkie korzyści, co w przyszłości powinno być zachętą dla innych.



Kurs handlowy dla majstrów: Grupa uczestników kursu, wraz z nauczycielami. 1. Dyr. A. Pawłoski. 2. Prof. Góra. 3. Prof. Ciompa. 4. Prof. Christof.

Kronika tygodniowa.

(Z Bałkanu. — O tron Karageorgiewiczów. — Jerzy oburzony. — Jeszcze o Kiryle. — Stracenie Czabaka. — Odroczenie rozprawy Siczyńskiego. — Pospiech Rady szkolnej krajowej i dola nauczycielstwa. — Sprawy cechowe w Krakowie. — Święta Wielkanocne i życzenia).

Nadzieja, że do wojny z Serbią nie przyjdzie, a przynajmniej nie tak prędko, spełniła się w zupełności, zawiodła jednak o tyle, iż nie można się spodziewać demobilizacyi armii austryackiej, która musi być w pogotowiu na wszelką ewentualność. W Serbii panuje ogromne naprężenie, którego ofiarą padnie prawdopodobnie jesli nie dynastya Karageorgiewiczów, to przynajmniej król Piotr. O posadę po nim ubiega się już kilku kandydatów, najpoważniejszym zaś jest książę Mirko czarnogórski, który, z książąt angielskich i Bakaj, jak to Burcew miał sposobność wyczytać „na własne oczy“ w jego notesie. I w Krakowie jest kilku kandydatów, którzy nie pogardziliby stolcem królewskim, choć on mocno skrzypi i chwieje się, lwowski kandydat Czabak, przy pomocy kata Langa przeniósł się w lepsze sfery, nie doczekawszy się ustąpienia króla Piotra.

Chluba i duma Serbii, książę Jerzy, otrzymawszy od skupczyny urzędowe kopnięcie, jako rewanż za Kolakowicza, rozmyśla obecnie, co ze sobą zrobić. Jedni ze zwolenników radzą mu, aby wstąpił do armii serbskiej, inni wysyłają go za granicę. On właściwie niema ochoty ani na jedno, ani na drugie, najbardziej konweniowałoby mu zajęcie miejsca po ojcu. Dyplomaci austryaccy i niemieccy nie mają w zasadzie nic przeciw temu, wiedząc aż nadto dobrze, że zajęcie tronu serbskiego przez księcia czarnogórskiego byłoby jednym krokiem więcej w kierunku ziszczenia się mrzonek wielkoserbskich, na co szczególniej Austrya absolutnie zgodzić się nie może.

Serbowie rozpuścili niby to część rezerw, aby pokazać, że pragną pokoju, nie przyjmują jednak żadnej odpowiedzialności za bandy ochotnicze, które grasują wzdłuż granicy i zagrażają Austryi. Także i Czarnogóra podniecona jest wojowniczo i nie myśli słuchać perswazyi włoskich, które wzywają ją do opamiętania. W każdym razie skonstatować należy, że wojenny duch w ostatnim tygodniu ogromnie osłabł, co przypisać należy usunięciu się księcia Jerzego od spraw publicznych.

Usunięcie to jest tylko pozorne i chwilowe, książę Jerzy czuje się obrażonym na Radę ministeryalną, skupczynę i cały świat, był bowiem pewny, że gdy z emfazą zgłosi swą rezygnacyę, nikt jej nie przyjmie, owszem będą prosić, aby został i ratował ojczyznę. Tymczasem nie spełniło się przypuszczenie, Rada ministrów i skupczyna przyjęły ją do wiadomości, bojąc się, by się książę przypadkiem nie rozmyślił i jej nie cofnął. Na upamiętnienie tej wspaniałej, a historycznej chwili ma firma Żeleńskiego wprawić wspaniały witraż w jednej z ubikacyi budynku serbskiej rady państwa, przedstawiający księcia Jerzego, obdzierającego Kolakiewicza żywcem ze skóry. Wieści, rozszerzane w pismach, jakoby książę Jerzy miał być umysłowo chory i jako taki zgłosił się do dra Żuławskiego na kuracyę, nie sprawdziły się dotąd. Że on ma bzika, to jest pewne, jak to mieliśmy sposobność nieraz skonstatować, zabiegi jednak dra Żuławskiego na nic się nie przydadzą, jest to bowiem forma bzika nieuleczalna, w guście tego, na jaki cierpi nasz kochany i sympatyczny Kiryło Tryl, ataman hajdamaczyzny galicyjskiej. O panu owym donoszą obecnie, że na złość Rusinom, którzy nawet w *Dile* go atakują, przechodzi na obrządek łaciński i zaciąga się w szeregi narodowej demokracyi, a wraz z nim ów Drohomirecki, który go tak ładnie informował.

Powstanie skutkiem tego w lwowskiej prasie mały huczek. *Słowo* nawymyśla *Dziennikowi*, ten znów nawzajem pogryzie migawkowego współpracownika z ulicy Zimorowicza, a *Nowy Wiek* ogłosi światu przy tej sposobności, ile kilogramów margaryny da się owinąć w jeden tylko jedyny jego nakład.

Zajęcie się temi sprawami odwróci na chwilę opinię publiczną od innych ważnych spraw, jak np. budowy kanałów, które poszły znowu w odstawkę, dzięki temu, że Wysoki Rząd sprzyja krajowi i egzekucyi Czabaka. *Ex re* tej smutnej sprawy należy się porządna raprymenda paniom lwowskim, które żądne wrażeń popędziły na miejsce skazania, aby podniecić swe nerwy. Dziwię się mężczyźnie, który biegnie gapić się na podobnie smutną sprawę, ale już poprostu nie może mi się pomieścić w głowie, jak tam wygląda kobieta, którą przecież wyobrażamy sobie zawsze jako jakąś doskonalszą pod względem uczuć istotę. (Zastrzegam się, iż nie mam wcale na myśli mojej nieboszczki małżonki, która stanowiła bardzo piękny wyjątek z tej reguły). Niestety, przyznać się musi, że obecnie przeczulone społeczeństwo szuka nadzwyczajnych podniet, więc też tem tylko tłómaczyć sobie możemy ich obecność. Z cudzego cierpienia, nawet choćby ono było, jak w tym wypadku, zasłużone, nie powinno się robić widowiska. Ciekawy jestem, jakie też wychowanie dadzą swym dzieciom owe panie, które na placu kaźni kształcą swe serca i umysły.

Odroczono także rozprawę heroja Siczyńskiego z powodu jakichś mankamentów ustawowych, a wielka to szkoda, gdyż oszczędziłoby się było kosztów na podróż pana Langa z Wiednia. Załatwiwszy się z Czabakiem, taniej wykonałby drugą operacyę, boć hurtownie to zawsze po zniżonych cenach. Niech się cieszą lwowskie panie, gotowe mieć drugą podniecającą sensacyę, jeśli znowu coś nie zajdzie i nie odroczą sprawy *ad calendas graecas*.

Postępuje to z tak nadzwyczajną szybkością, jak asygnowanie płac nauczycielskich przez Radę Szkolną krajową. Znam jedną młodszą nauczycielkę, która się tymczasem zestarzała, nim jej płacę wyasygnowano, a z głodu tak wychudła, iż jeśli nie wrzuciła do automatu trzech centów, nie ważyła ani kilograma. Sławny jest ów alembik urzędowy, przez który cedzi się u nas wszelakie sprawy, podobne jednak krzywdzenie biednego nauczycielstwa jest stanowczo warte napiętnowania. Jeden z moich znajomych, zastępca c. k. nauczyciela gimnazyalnego, czyli tak zwany pospolicie suplent, zamianowany został do Brodów. Na koszta podróży wyasygnowała mu c. k. dbająca o los swych pracowników Rada Szkolna krajowa aż pięćdziesiąt koron, z których miał zdać liczbę do dni czternastu. Nie zaszkodzi dodać, iż pan ów będąc jeszcze filozofem miał ten *casus pascudeus*, że się zakochał w biednej panience i z nią ożenił. Kontent z nominacyi zebrał manatki i żonę, pożyczył od żyda dwieście koron i powędrował siać światło w młode umysły. Przybywszy do Brodów czekał dwa miesiące na nadejście asygnaty na płacę i dowiedział się z niej, że dopóty pieniędzy nie dostanie w urzędzie podatkowym, dopóki nie okaże owej asygnaty, zaopatrzonej wedle skali III znaczkiem stemplowym na 35 koron. Skąd tu wziąć pieniędzy? Naturalnie trzeba znowu pożyczyć, jeśli się znajdzie ktoś taki, kto ma monetę i ochotę! Tymczasem nadszedł jednak sprawdzony przez odnośny departament rachunek owych kosztów podróży i pokazało się z niego, iż biedaczysko ma zwrócić 13 koron. 75 i pół halerza „za kwitem bez stempla!“ Z owej dwumiesięcznej, a tak gorąco oczekiwanej płacy, naturalnie zaraz je też ściągnięto. I jak tu teraz żyć, jeśli płaca nieegzaminowanego suplenta wynosi przeciętnie 133 koron, 33 halerze miesięcznie, a z tego ma się utrzymać siebie, żonę i bodaj jakie popychadło, zwane u nas na prowincyi szumnie służącą do wszystkiego.

Jeśli Rada Szkolna chce mieć pracowników, którzyby sumiennie i chętnie pracowali na tak niewdzięcznej, a odpowiedzialnej wobec całego społeczeństwa niwie, niech ich należycie wynagradza i nie każe czekać na pobory, które się każdemu słusznie należą. Kto ma głowę zajętą obmyślaniem, co wziąć do ust, aby z głodu nie umrzeć i skąd na to wytrzasnąć pieniądze, ten nie może skutecznie pracować umysłowo, a jak wiadomo, zawód nauczycielski wymaga ciągłej pracy nad sobą.

Daleko gorzej sytuowane i wynagradzane jest nauczycielstwo ludowe, które za swą ciężką pracę spotyka się nadto z pewnem lekceważeniem społeczeństwa, które nauczyciela ludowego uważa wprawdzie za osobnik rodzaju ludzkiego, ale jakiejś gorszej sorty i nie popiera go tak, jak na to zasługuje. Praca nad uświadomianiem najmłodszych naszych latorośli jest o wiele bardziej wytężająca, niż każda inna praca umysłowa, a wynagrodzenie za nią nie stoi w żadnym stosunku do wysiłków, jakich wymaga przełożona władza, nie mówiąc już o uznaniu, z którem nauczyciel ludowy prawie z zasady się nie spotyka. Stosunkowo najlepiej wynagradzani są nauczyciele ludowi w miastach, gorzej po wsiach, a już nie wspominam nawet o tak zwanych nauczycielach i nauczycielkach tymczasowych, którzy pobierają płacę za wikta w każdym razie, aby umrzeć z głodu, nie wystarczającą jednak, aby módz z niej wyżyć.

Zanadto również mało u nas jeszcze seminaryów nauczycielskich, kształcących młode pokolenie, a co najważniejsza, że garnie się tam zwykle młodzież, która próbowała sił w gimnazyach, a nie mogąc podołać, zmuszona ostatecznością obrała karyerę nauczyciela ludowego, nie pracuje też tak gorliwie, jakby należało, wiedząc, że za pracę nie zyska ani nagrody pod podstacią znośnego bytu, ani uznania. Polepszenie stosunków jest w rękach Sejmu, a jak wiemy większość posłów dla postulatów nauczycielskich jest przychylnie usposobiona, możemy się więc spodziewać, że wreszcie nauczycielstwo doczeka się spełnienia swych słusznych żądań.

Obecnie i nauczycielstwo i ich pupile weselą się, gdyż nadeszły feryе świąteczne, które jednym umożliwiają wytchnienie po ciężkiej pracy, drugim dają sposobność odwiedzenia domów rodzicielskich. Wogóle raduje się cały świat i to do tego stopnia, że Wysoki Rząd troskliwy o nasze zbawienie, a wiedząc, że zbytnia radość prowadzi do grzechu, postanowił nam przypomnieć gorzką dolę c. k. podatników i przygotowuje, jako prezent świąteczny, projekt nowego podwyższenia cen biletów kolejowych. Jak zwykle, tak i teraz, skrupi się to głównie na najbiedniejszych, gdyż stosunkowo największemu podwyższeniu ulegną bilety trzeciej klasy.

Ha! trudna rada; odzwyczajamy się od jedzenia i picia, teraz będziemy chodzić piechotą. Wogóle okoliczności spiknęły się przeciw nam, gdyż nasi panowie rzeźnicy, jak obiecali się namyśleć nad zniżeniem cen wędlin, tak myślą ciągle i myślą, a nie dają żadnej odpowiedzi. Magistrat ich bardzo nie przynagla, bo nie warto zrażać sobie tak potężnej w Krakowie partyi, jak rzeźnicy, którzy przy wyborach nawet w Wielkim Krakowie mogą dużo pomódz lub zaszkodzić. Dziwi mnie natomiast energia naszej automicznej władzy, która pozwoliła sobie rozwiązać cech piekarzy białego pieczywa i ustanowić komisarza rzadowego. Powodem liczne nieporządki w zarządzie, o których jednak wróble śpiewały już od lat kilku, bodaj czy nie kilkunastu. Owo wyładowanie magistrackiej energii, choć późne, przecież zasługuje na zapisanie w rocznikach na *bene* władzy. Jak pieczywo miało być jakie takie, jeśli panowie majstrowie nic sobie nie robili ze swej władzy przełożonej, jaką jest magistrat? Podobnie radykalnego załatwienia sprawy oczekujemy w sprawie taksy dorożkarskiej, gdyż zbliża się wiosna, sezon wycieczek i spacerów. Chodzi tu główrie o taksę zamiastową, o której nasi automedonowie ani myślą słyszeć, choć radziby byli, aby taksa miastowa była podwyższona. Toczą się rokowania, narady i ankiety, w których biorą udział przedstawiciele obu stron wojujących, tj. magistratu, jako obrońcy naszych kieszeni i przedsiębiorców dorożkarskich, którzy popierają znów swoje interesy. Jak i kiedy ukończą się owe zapasy, dotąd nie wiadomo, trwają już lat kilka, mogą więc i dłużej jeszcze się przeciągnąć.

A tymczasem nadeszły już święta, a z niemi nadzieja, że wygłodzeni wielkim postem i zamachami piekarzy i rzeźników jakoś przecież odżyjemy. Tradycyjna staropolska gościnność wziąwszy sobie do pomocy znane przysłowie: „*Zastaw się, a postaw się!*“ zgromadzi koło pięknie udekorowanych różnymi smakołykami stołów świątecznych zgłodniałe rzesze, wymieniające serdeczne (?!) życzenia przy święconem jajku. Ja już od soboty wieczór rozpoczynam wędrówkę świąteczną, gdyż tyle zaproszeń na święcone otrzymałem od Szanownych Czytelników, że zaledwie może w setnej części będę im mógł zadość uczynić, uwzględniając przeważnie wezwania P. T. Prenumeratorów. Jeśliby więc kto pragnął widzieć w święta moje oblicze przy swym gościnnym stole, a nie zobaczył go, niech będzie przekonany, że nie zła wola, ale tylko brak czasu stanął mi na przeszkodzie. Chciałem także wybrać się do wschodniej Galicyi, aby memu politycznemu przyjacielowi, kochanemu Trylowi, osobiście pogratulować, niepewna jednak sytuacya polityczna nie pozwala mi opuścić Krakowa i każe śledzić bacznie horyzont polityczny. I wiele innych miałem po drodze odwiedzić, nawet może i konak belgradzki, dowiedziałem się jednak, że tego roku król Piotr nie urządza przyjęcia świątecznego z powodu galopujących suchot kieszeniowych.

Aczkolwiek więc z bólem serca, że nie osobiście, tylko na piśmie i to drukiem, życzę Szanownym Czytelnikom wesołych świąt i zalecam umiarkowanie przy spożywaniu darów Bożych, które. aczkolwiek poświęcone, przecież w nadmiarze użyte mogą sprowadzić zaburzenia, a dziś nam przecież konieczna jest równowaga tak polityczna, jak i każda inna. *X.*

Nowe próby Zeppelina.

Po pamiętnej katastrofie, jaka w ubiegłym roku spotkała napowietrzny statek hr. Zeppelina, całe Niemcy okryły się żałobą, uważając tę katastrofę za klęskę narodową, a równocześnie zorganizowano akcyę składkową na cel odbudowania zniszczonego statku. Posypały się hojne datki i wnet potrzebne pieniądze oddano hr. Zeppelinowi do dyspozycyi. Pospieszył też z pomocą rząd niemiecki, zakupując pierwszy model balonu i zapewniając w ten sposób wynalazcy środki na udoskonalenie dzieła.

Już w zimie był nowy statek wykończony. Nazwano go krótko „Z. I“. Dopiero obecnie jednak, gdy nadeszła wiosna, przystąpiono do urzędowych prób.

Wedle programu miał balon hr. Zeppelina odbyć podróż z Manzell do Monachium, tam miał wykonać szereg ewolucyi wobec regenta Luitpolda i przedstawicieli rządu bawarskiego, poczem opuścić się na łąkę Oberwiesenfeld i w tym samym dniu powrócić do stacyi wodnej w Manzell.

Próba powiodła się względuie pomyślnie. Rozpoczęto ją zgodnie z programem; balon wzniósł się w Friedrichshafen i po kilku godzinach znalazł się nad Monachium. Tam też wykonał kilka programowych ewolucyi. Wylądować atoli nie mógł z powodu silnego wiatru. Nastąpiło to w dość znacznej odległości od stolicy Bawaryi. Dopiero następnego dnia, gdy powietrze się uspokoiło, powrócił balon hr. Zeppelina do Monachium, a następnie do swej stacyi.

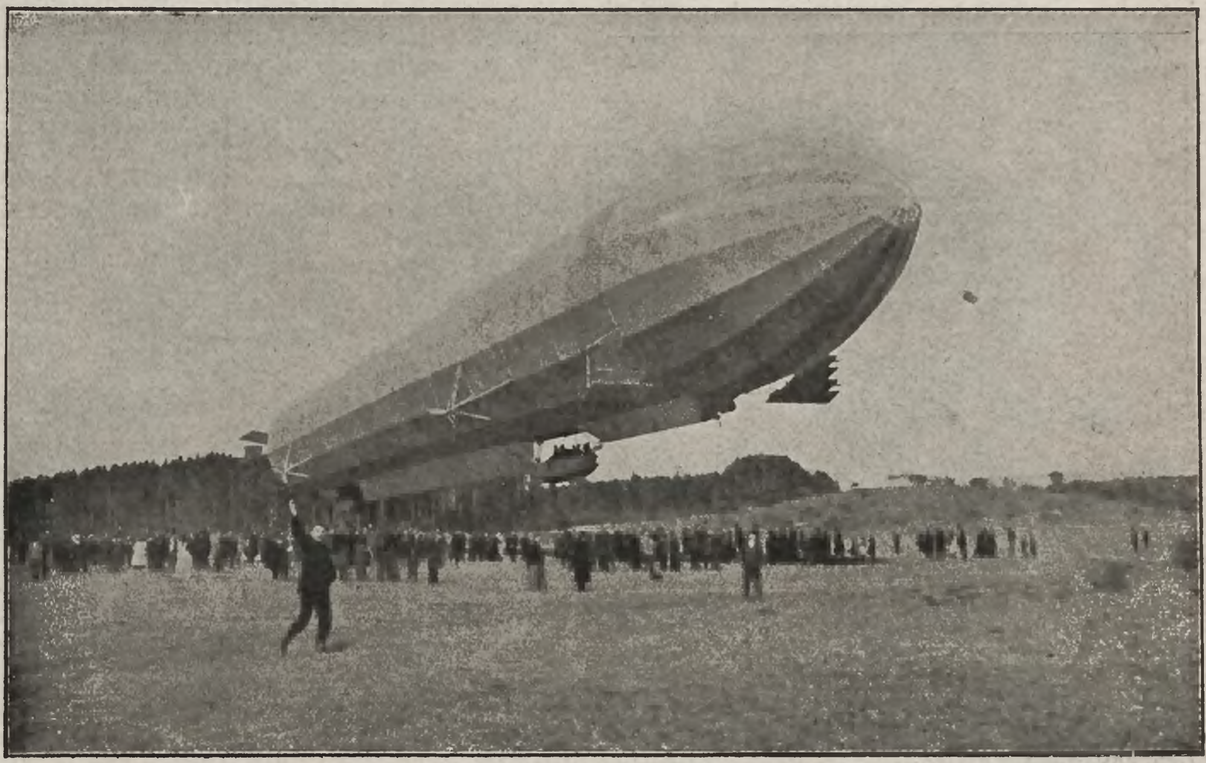
O rezultatach tej próby trudno dziś wydać sąd ostateczny i stanowczy, fachowcy bowiem nie dali dotąd swej opinii o kierunkach i sile wiatrów. Już jednak z pobieżnych sprawozdań, jakie doszły wiadomości ogółu, wynika, że o „tryumfie“ hr. Zeppelina mówić na razie nie można.

Mimo to pisma niemieckie witają wyniki ostatniej próby z ogromnym entuzyazmem. Także ludność z tych okolic, gdzie odbyła się próba, urządziła wynalazcy balonu wspaniałe przyjęcie i wielką owacyę. Tysiące zgromadziły się i w Manzell, skąd statek napowietrzny miał wyruszyć i w Monachium, gdzie oczekiwano jego wylądowania. A wśród tych tłumów była nietylko gawiedź miejska, ale i mnóstwo inteligencyi, osoby ze świata urzędniczego, dygnitarze, arystokracya itd.

Widok zbliżającego się w szybkiem tempie statku wywołał istną burzę oklasków i okrzyków wiwatowych na cześć wynalazcy.

Nad wszystkiem jednak górowała ciekawość. Gdy balon wojskowy „captif“ zasygnalizował telegraficznie ukazanie się balonu „Z. I.“ na horyzoncie, tłum oniemiał na dłuższą chwilę, wyczekując, kiedy oczom jego ukaże się upragniony widok. Nastąpiło to istotnie wnet potem. A równocześnie usłyszano głuchy szum motorów i łoskot śrub, uderzających o powietrze. Było to echo zaciekłej walki, jaką statek hr. Zeppelina staczał z wichrem. A że wszystko to działo się nad głowami i w oczach tysięcy widzów, więc zdenerwowanie tłumu było nadzwyczaj silne. Walka ta ukończyła się ostatecznie szczęśliwie i pomyślnie dla hr. Zeppelina. Balon okazał się tym razem dość silny i wytrzymały.

Przyszłość najbliższa już zapewne stwierdzi o ile nadzieje Niemiec będą uzasadnione i o ile wynalazek hr. Zeppelinna będzie mógł znaleść praktyczne zastosowanie.



Nowe próby hr. Zeppelina: Balon hr. Zeppelina „Z. I.“ przed wzlotem próbnym.

Olbrzymi proces.

Już trzeci miesiąc toczy się w Zagrzebiu proces w tak kolosalnych rozmiarach, z jakimi rzadko można się spotkać w sali sądowej. Mianowicie królewska prokuratorya oskarżyła 53 Serbów, przeważnie zamieszkałych w Chorwacyi, że pozostawali w bliższych lub dalszych stosunkach z belgradzkim politycznym związkiem „Slowenski Jug“ (Słowiańskie Południe). Celem tego związku jest — zdaniem prokuratora — propaganda, rozwinięcie i przeprowa-



Olbrzymi proces: Oskarżeni w procesie zagrzebskim demonstracyjnie odwracają się od aparatu fotograficznego.

dzenie w Chorwacyi, Slawonii, Dalmacyi, Bośni i Hercegowinie idei wielkoserbskiego państwa. Następnie zamierzał pomieniony związek wzniecić powszechną rewolucyę w tych krajach i przy zbrojnej pomocy Serbii i Czarnogóry, oderwawszy je od Austro-Węgier, przyłączyć do królestwa Serbskiego.



Znów ofiara hazardu: Roman Mieszczański.

Takie oskarżenie o zdradę stanu pociąga za sobą w myśl odnośnych paragrafów węgierskiego kodeksu karnego ewentualnie karę śmierci dla 15 podsądnych, dla reszty zaś kary nie niższe, niż 10 lat ciężkiego więzienia.

Akt oskarżenia, obejmujący 107 stronic wielkiego formatu, skonstruowany jest nader misternie, mimo to jednak zawiera zbyt mało materyału faktycznie obciążającego oskarżonych. Opiera się on w znacznej części na zeznaniach i broszurze p. t. „Finale sa revolucionarnim statutom“ głośnego Nasticza, który jeżeli nie był wprost agentem-prowokatorem rządu węgierskiego, to w każdym razie był zdrajcą swych rodaków i dawniejszych przyjaciół politycznych.

Proces ten wzbudza tem większe zainteresowanie w południowej Słowiańszczyźnie, ponieważ jest on objawem nietylko animozyi Madziarów przeciw Słowianom wogóle, ale także wykazuje głęboki rozdział, jaki wciąż istnieje między Chorwatami-katolikami, a Serbami-schizmatykami. Następnie zaś ton rozdrażniony, w którym przemawiają oskarżeni, ich obrońcy, prokurator, a nawet przewodniczący, nadają temu procesowi odrębny charakter, przypominający raczej namiętne debaty polityczne, niż spokojny tok sądowej rozprawy, z której ma się wyłonić bezwzględna prawda.

Ryciny nasze przedstawiają wnętrze sali sądowej w Zagrzebiu, gdzie toczy się rozprawa. Na jednej z nich widać, jak podsądni, oburzeni tem, że fotograf skierował na nich swój aparat, demonstracyjnie odwrócili się doń tyłem.

Znów ofiara hazardu.

Demon gry hazardowej w karty, w loteryę liczbową i w totalizatora chwyta w swe sieci najczęściej ludzi, którzy mogliby spokojnie i uczciwie przejść przez życie, gdyby posiadali więcej panowania nad swymi namiętnościami. I znów mamy do zanotowania nową ofiarę gry hazardowej, a mianowicie Romana Mieszczańskiego, kasyera głównego lombardu miejskiego w Warszawie, którego portret obok podajemy.

Mieszczański, cieszący się zaufaniem swych przełożonych i sympatyami kolegów, pracował bez zarzutu w magistracie warszawskim lat kilkanaście. Miał duże stosunki towarzyskie, oddawał się rozmaitym rodzajom sportu i brał czynny udział w ruchu kooperatywnym. Pozatem jednak hołdował zgubnej namiętności gry w karty, która była przyczyną, że zdefraudował w kasie lombardu kilkaset rubli. Gdy w dniu 29 ubiegłego miesiąca, zjawił się niespodziewanie w lombardzie wiceprezydent miasta, celem przeprowadzenia szkontrum, Mieszczański zszedł szybko do podziemi, gdzie mieści się skarbiec i tam celnym wystrzałem z rewolweru pozbawił się życia.

Przedwczesny zgon muzyka polskiego.

Dotkliwą stratę poniosła polska muzyka skutkiem przedwczesnego zgonu ś. p. Leona Langera, kapelmistrza opery polskiego teatru w Poznaniu, jednego z bardzo wysoko utalentowanych muzyków naszych.

Ś. p. Langer uległ ciężkiej chorobie piersiowej, przeżywszy zaledwie 26 lat. Urodzony w Podgórzu pod Krakowem, tam ukończył szkoły średnie, a że z natury obdarzony był bardzo wybitnymi zdolnościami muzycznymi, poświęcił się specyalnie studyom w tym kierunku. Powróciwszy z zagranicy, oddał się pracy kapelmistrzowskiej, rozpoczynając zawód ten w operze teatru lwowskiego.

I tu odrazu dał się poznać jako indywidualność



Przedwczesny zgon polskiego muzyka: Śp. Leon Langer.

na wskróś artystyczna, jako muzyk nadzwyczajnie uzdolniony i wyborny kapelmistrz. Mimo młodego wieku przygotowywał i prowadził cały szereg oper, w tem kilka Wagnerowskich, obok kapelmistrza Ribery. Zdobył też sobie podbojem uznanie krytyki i ogromną sympatyę wśród członków orkiestry i artystów śpiewaków. Bo śp. Langer był nietylko bardzo zdolnym muzykiem, nietylko dobrym i serdecznym kolegą, ale i wyjątkowo skromnym człowiekiem, co mu jednało serca wszystkich tych, którzy mieli sposobność bliższego z nim zetknięcia się.

W czasie pobytu opery lwowskiej w Krakowie, dźwigał młody ten kapelmistrz na swych barkach przeważną część pracy, niezawsze łatwej i niezawsze wdzięcznej. Nagrodą dlań było chyba tylko uznanie publiczności i wdzięczność artystów.



Olbrzymi proces: Ława oskarżonych w psocesie zagrzebskim.

Wą[illegible] chorowity, zapadał śp. Leon Langer często na zdrowiu. Choroba piersiowa czyniła coraz szybsze postępy, tem bardziej, że zapalony i rozkochany w muzyce kapelmistrz pracował niemal bez przerwy. Kilkakrotny pobyt w Zakopanem, przynosił chwilowe polepszenie i podsycał nadzieję, że przecież uda się wyrwać śmierci młode to życie. Tą nadzieją przejęty, objął śp. Langer stanowisko kapelmistrza opery w teatrze poznańskim i pracował tam z całem poświęceniem. Nie długo niestety, bo już po kilku miesiącach musiał porzucić pracę. Przyjechał do domu rodziców do Podgórza i tu życia dokonał.

Smutna wiadomość o tak przedwczesnym zgonie utalentowanego muzyka, wywarła ogólne współczucie i żal.

Antoni Kohman.

Poza niewielką stosunkową liczbą śpiewaków i śpiewaczek polskich, przewijających się przez nasze dwie sceny operowe i estrady koncertowe, wielka rzesza utalentowanych śpiewaków i śpiewaczek działa wśród obcych, znajdując tam obok dostatniego kawałka chleba powszedniego, także owo ciepło sympatyi, tudzież uznania, bez których rozwój talentu jest prawie niemożliwy.

Długi szereg imion zawierałoby pobieżne choćby przypomnienie tych, którzy zdala od ojczystych estrad, służą sztuce straceni niemal dla sztuki polskiej. Z falangi tej wybija się coraz częściej na szpalty pochwał i recenzyj prasy codziennej oraz fachowej środkowej Europy, imię Antoniego Kohmana. Chociaż urodził się we Lwowie w 1878 r. uważamy go za Krakowiana, wśród nas bowiem



Antoni Kohman.

spędził czasy wesołej młodości, uczęszczając w Krakowie do szkół średnich i rozpoczynając tu naukę muzyki w krakowskim konserwatoryum. Za poradą stryja swego, znanego zaszczytnie śpiewaka Floryańskiego, wyjechał na dalsze studya wokalne do Jul. Stokhausena, najznakomitszego wówczas w Niemczech (Frankfurt n. Menen) nauczyciela śpiewu.

Z chlubą ukończywszy tam studya, wybrał Kohman trudną i niewdzięczną karyerę śpiewacką t. j. karyerę oratoryjno-estradową. Lecz, że talent rzeczywisty wybić się musi zawsze choćby w najtrudniejszycy warunkach, świadczy stanowisko, jakie zajmuje obecnie Kohman w świecie śpiewackim. W ciągu kilkuletniej swej karyery artystycznej śpiewa Kohman we wszystkich miastach środkowej Europy, zbierając laury i oklaski. W ostatnich czasach śpiewał przed paru miesiącami w Wiedniu, w najmuzykalniejszym mieście niemieckim, biorąc udział w wykonaniu olbrzymiego i rozgłośnego dzieła Pierne'go „Kinderkreuzzug". Prasa wiedeńska, lubująca się w popisach własnych wielkości, zajęła wobec naszego ziomka wyjątkowo przychylne stanowisko.

Notując z przyjemnością sukcesy sympatycznego Krakowianina wśród obcych, z przykrością zaznaczyć musimy, iż władcy naszych estrad nie postarały się dotąd o — choćby przygodne — zaprezentowanie nam tego śpiewaka. *Stab.*

Rozwiązanie zagadek z Nr. 13.

Zadanie konikowe:

Znasz li ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa,
Pomarańcz blask majowe złoci drzewa,
Gdzie wieńcem bluszcz ruiny dawne stroi,
Gdzie buja laur i cyprys cicho stoi.
Znasz li ten kraj, ach tam moja miła,
Tam był mi raj, dopókiś ty ze mną była!

Szarada: Polemika.
Logogryf: Ernest Renan — Żywot Jezusa.
Logogryf: Sokrates.
Zagadka przysłowiowa: Co zanadto, to nie zdrowo.
Zagadka: Drab. bard.
Arytmograf: Jaka praca, taka płaca.
Figiel arytmetyczny: 999 %.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp. X. Uścieński, Lwów, S. Sulatycki Stanisławów, H. Woliński Warszawa, O. Górkowa Chyrów, A. Bilińska Tarnopol, S. Gliński Kołomyja, W. Lewicki Stanisławów, S. Radomski Czortków, B. Winogrodzki Czerniowce, S. Apfelbaum Kołomyja, S. Radoszewski Rzeszów, B. Lesiński Tarnów, W. Krogulski Bochnia, Z. Rygier Lwów, B. Lisowski Warszawa, W. Roth Łódź, S. Lindenbaum Czortków, W. Ring Lwów, Z. Gagulski Kraków, W. Trzelski Kraków, O Ślizowski Kraków, M. Serwański Kraków, A. Rotter Stanisławów, S. Cześnikiewicz Kraków, S. Bandrowska Kraków, A. Polończykowa Żywiec, E. Jezierski Kraków. H. Chodkiewicz Warszawa, J. Augustynowicz Żywiec, A. Szczepański Zduńska Wola, S. Danziger Osiny, J. Zugej Willamowice, Dr. J Gold Tarnopol, Z. Sochacki Tarnopol, K. Fuchs Czeremchów, M. Łaszkiewiczowa Trzcinica, J. K. Janiszewski Podgórze, W. Ziobrowski Lwów, A. Biernacki Warszawa, J. Klimek Lwów. J. Gerstenfeld Warszawa, M. Samborska Kraków, B. Rogowski Kraków, W. Lipski Kraków, R. Sacher Lwów, W. Witkowski Kołomyja, L. Miazga Lwów, Czytelnia T. S. L. Mielec, R. Guzik Sosnowiec, J. Ogłaza Sosnowiec, Zofia de Boulangé Gawłowek.

Nagrodę przez losowanie otrzymała *M. Serwańska Kraków.* Upraszamy o nadesłanie 35 hal na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Wincenty Korolewicz **Książę Popiel.** Tragedya Kraków 1909. G Gebethner i Spółka. Odbito w drukarni W. L. Anczyca.

Pan Korolewicz znany już chlubnie w naszej literaturze jako autor „Ocknienia" i „Pod piramidami", wystąpił znowu z tragedyą napisaną pięknym wierszem, a osnutą na tle mitycznych dziejów Polski. Ostatnia praca dowodzi o dużym talencie autora, władającego po mistrzowsku językiem, a przenosi nas nad brzegi Gopła w czasie panowania księcia Popiela IV. Charakterystyka postaci, wdzięczna forma i archaiczny język składają się na całość, godną polecenia, w równej mierze zasługuje na uznanie i część typograficzna. Dziełko ozdobione jest fototypią rysunku artysty-malarza Fr. Türka, przedstawiającą Pieśniarza Popiela.

Zgrzyty. Napisali Wacław Teodorkowski i Władysław Herz. Główny skład w księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie, druk A. Rippera w Krakowie.

Zbiorek poezyi, napisanych białym wierszem w duchu modernistycznym, wydany nader starannie i opatrzony na karcie tytułowej i okładce illustracyami allegorycznemi. Jeden z autorów p. Herz, znany jest jako kompozytor kilkunastu udatnych utworów muzycznych na fortepian i orkiestrę.

Referat posła W. Długosza, **O budowie szkół ludowych** (Sprawozdanie sejmowej komisyi szkolnej) wydany jako bezpłatny dodatek do „Gazety powszechnej" porusza kwestye nader ważne dla rozwoju oświaty w naszym kraju, zasługuje też ze wszechmiar na jak najszersze spopularyzowanie.

Staraniem wydawnictwa groszowego im. Tadeusza Kościuszki opuścił prasę drukarską zbiorek poezyi chłopa z nad Wisły, Ferdynanda Kurasia p. t. **Z pod chłopskiej strzechy.** Kraków, nakład księgarni K. Wojnara. Cena 50 groszy. W przedmowie kreśli wydawca losy biednego a utalentowanego wieśniaka-poety a następnie w chronologicznym porządku zestawia jego utwory, z których przebija gorąca miłość Ojczyzny i talent prawdziwie „z Bożej łaski". Znaczną część dochodu przeznaczono na rzecz autora, który w powiecie tarnobrzeskim wiedzie marny żywot, musząc ciężką pracą zarabiać na chleb codzienny dla siebie i rodziny. W Tarnobrzegu zawiązał się komitet celem zakupienia kilkumorgowej zagrody dla utalentowanego wieśniaka poety.

Głosy publiczne.

W dniu 26 marca odbyło się w Grand Hotelu w Krakowie posiedzenie Rady Nadzorczej Sanatoryum dla chorób piersiowych w Zakopanem. Przewodniczył prof. Bolesław Wicherkiewicz Obecni byli: prof. Dr. Kazimierz Kostanecki, Dr. Józef Surzycki, Kazimierz Czapelski, syndyk stow. Dr. Teodor Kosch, prezes komisyi rewizyjnej dyrektor Mieczysław Sędzimir, wreszcie dyrektor Dr. Kazimierz Dłuski, naczelny lekarz Sanatoryum Odczytano sprawozdanie komisyi rewizyjnej, komisyi lustracyjnej związku stow. zarob. gospod., wreszcie sprawozdanie dyrekcyi. Wszystkie jednozgodnie wykazały, że Zakład rozwija się pomyślnie, że należycie spełnia swe piękne zadanie, że prowadzenie jest fachowe, umiejętne i niezmiernie staranne, że rachunkowość jest prawidłowa etc. Wprawdzie istnieją dotąd jeszcze trudności finansowe, gdyż instytucya powstała z niedostatecznym kapitałem udziałowym, jest jednak postęp i w tym kierunku dzięki umiejętnej i roztropnej gospodarce. Z kolei przystąpiono do zatwierdzenia bilansu za rok 1908, oraz udzielono dyrekcyi absolutoryum, wyrażając jej przytem gorące uznanie za gorliwą pracę dla dobra Zakładu. Uchwalono potem budżet na rok 1909. Wreszcie poświęcono serdeczne wspomnienie pamięci nieodżałowanego wiceprezesa Rady Nadzorczej hr. Adama Krasińskiego, który oddał zakładowi duże usługi. Sprawozdanie lekarskie wykazuje bardzo dodatnie wyniki lecznicze; nic też dziwnego, że wszyscy lekarze polscy bardzo serdecznie i gorliwie popierają Sanatorym zakopiańskie i coraz częściej powierzają mu swoich chorych.

Komitet Towarzystwa „Zero" zawiadamia interesowanych, że termin zgłaszania dzieł na drugą wystawę tego Tawarzystwa upływa z dniem 15 kwietnia, ostateczny zaś termin nadsyłania dzieł *(à la petite vitesse)* — jak to było dawniej postanowionem — z dniem 10 maja b. r. Zgłoszenia uprasza się adresować: L. Kowalski, Starowiślna 12, Kraków, a dzieła przesyłać pod adresem Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie.

Odpowiedzi Redakcyi.

WP. „Staropolski" Łódź: Bardzo żałujemy, iż poezyi WPana wydrukować nie możemy, gdyż z zasady wierszy nie umieszczamy. Radzimy zwrócić się do którego pisma literackiego, n. p. *Tygodnika illustrowanego.*

Nadesłane.

Głosy publiczne.

Otrzymaliśmy pismo następujące, które podajemy w przekładzie polskim:

Paryż w marcu.

Szanowny Panie!

Adam Mickiewicz jest równocześnie jednym z najsławniejszych synów Polski, jednym z największych poetów ludzkości i jednym z najżarliwszych apostołów ideałów nowożytnych. W *Cellège de France* był kolegą i przyjacielem Michelet'a i Quinet'a. Posągi jego wznoszą się po wszystkich miastach Polski i zaznaczają tam jego bezwzględne i entuzyastyczne poświecenie się dla sprawy i Ojczyzny: należy mu wznieść pomnik w Paryżu, którego był gościem, aby zaświadczyć, równocześnie z przywiązaniem Francyi do swych tradycyjnych ideałów, siłę jej niezmiennej przyjaźni względem Polaków, tego bohaterskiego i szlachetnego narodu, który nieustannie się poświęcał dla cywilizacyi europejskiej i krew swą obficie przelewał w wojskach, walczących pod naszymi sztandarami.

Z powyższych względów zawiązał się Komitet, celem zebrania funduszów, potrzebnych do wzniesienia tego pomnika, którego wykonanie powierzono Antoniemu Emilowi Bourdelle. Pozwalamy sobie z naciskiem zwrócić uwagę Szanownego Pana na patryotyczną doniosłość tego przedsięwzięcia—w tej chwili gdy wszystkie sympatye powinny być zwrócone ku narodom słowiańskim — i uczynić dlań, co będzie w Jego mocy tak ze swej strony, jak i w gronie swych przyjaciół.

Prosimy przyjąć i t. d.

Komitet.

Składki nadsyłać można albo do Redakcyi czasopisma *Mercure de France*, Paryż 26, rue de Condé, lub też do skarbnika Komitetu Dra Wtktora Nicaise, Paryż, 3 rue Mollien.

OD ADMINISTRACYI.

Jeszcze raz przypominamy, że termin odnowienia

prenumeraty na II. kwartał.

już minął. Prenumeratorom, którzy należytości prenumeracyjnej dotąd nie uiścili, tego numeru już nie wysyłamy. Jeśli więc chcą mieć komplet z całego roku i nie stracić wątku interesujących powieści, niech się spieszą z zapłaceniem prenumeraty, gdyż później nie będziemy mogli dostarczyć im numerów dawniejszych.

Prenumeratę przesyłać należy albo do

Centralnej Administracyi,
Kraków, Zacisze 7,

albo dla Królestwa do

Biura G. Ungra w Warszawie
Aleje Jerozolimskie 78 lub Wierzbowa 8.

Za każdą zmianę adresu dopłaca się 20 halerzy.

Kącik humorystyczny.

+ Słownik abonenta telefonicznego.

Telefon — przyrząd do rozmawiania i ciągłej irytacyi.

Telefonistka — Osoba, mająca zazwyczaj przytępiony słuch.

Telefonować — Ćwiczyć się w cierpliwości.

— Kto był pierwszym socy[illegible] świecie?
— Tyran Dyonizyusz, gdyż rzekł on do Dumona: „Więc weźcie i mnie „*za towarzysza*“.

+ Złapał się.

— Wie pani, mój pies jest tak mądry, jak ja.
— Ach, jakże mnie cieszy, że udało mi się przecież raz w życiu spotkać człowieka, tak miłującego prawdę!

+ Mańkut.

— Proszę wziąć tę filiżankę, a przynieść m taką, która ma uszko po lewej stronie, gdyż ja jestem mańkut!

U pośrednika małżeństw.

Pośrednik małżeństw: Co...? Ja się tyle starałem, aby panu wyszukać odpowiednią żonę, a pan teraz nie chce mi zapłacić, twierdząc, że to baba zła i stara? Panie, ja panu życzę, byś z nią obchodził brylantowe wesele!!

W sądzie.

— Wpłynęła tu skarga, że pani byłemu swemu narzeczonemu na pożegnanie wyrwała całą garść włosów. Co pani ma na swoje usprawiedliwienie?
— Panie sędzio! Ja chciałam po nim mieć tylk o pamiątkę.

Na ulicy.

Młody goguś z trzema złotymi paskami na kołnierzu gimnazyalnej bluzki, zaczepia młodą facetkę, rozglądającą się wyzywająco.
— Czy w sercu pani znajdzie się i dla mnie miejsce?
— Mój panie, moje serce nie jest parkiem Jordana!
— Jak to pani rozumie?
— Niema w niem miejsca zabaw dla młodzieży szkolnej.

W interesie własnego zdrowia powinien każdy żądać wszędzie tylko

TUTEK CYGARETOWYCH

Z FABRYKI RUDOLFA HERLICZKI W KRAKOWIE

Ostrzega się przed licznemi naśladownictwami, które się w ostatnich czasach pojawiły!

Wzory i cenniki wysyła fabryka na żądanie darmo i opłatnie.

Najnowsze materye

na sezon wiosenny i letni

dla pań na **suknie i bluzki** w najrozmaitszych tkaninach i jakości, o **wspaniale pięknych, nowych z zestawieniach kolorów, od najtańszego do najlepszego gatunku** — są zawarte w naszej cotylko zestawionej **kollekcyi wzorów !**

wszystkim paniom

które na prowinc. mieszkają, wysyłamy na żądanie **kollekcyę wzorów**, jak też **wspan. illustrowane żurnale mód** — — — zawierające najnowsze modele **damskich toalet, konfekcyi, bluzek, kapeluszy, parasoli, artykułów ozdobnych, bielizny, ubrań** dla **chłopców i dziewcząt** również **mebli** i **artykułów domowych.**

najzupełniej darmo

Wybór, gatunek i taniość bez konkurencyi!

Grand-Magasin „AU PRIX FIXE“

Wien, I., Habsburgergasse 1/72

Założony 1872. Założony 1872

Skarbem

prawdziwym dla cierpiących na następstwa błędów młodości jest słynne dzieło ilustrow.

Dra Retau'a

Ochrona własna

Nowe wydanie polskie **Cena 2 Kor.**

Niechaj czyta je każdy doznający na sobie skutków takich nałogów. Do nabycia przez **Verlags-Magazin Leipzig** Neumarkt 21 (w Lipsku, w Saksonii), jakoteż przez każdą księgarnię.

Ces. i król. nadw. dostawca

CHRISTOFLE & Cie

Wiedeń I., Opernring 5. (Heinrichshof)

Zastawy i nakrycia stołowe

wedle ogólnego uznania najlepiej posrebrzane.



Największy wybór, najpiękniejszy format, także z prawdziwego srebra.

We wszystkich miastach upoważnieni zastępcy. — Cenniki illustrowane na żądanie darmo.

Senatoryum i Zakład Wodoleczniczy

spec. chor. nerwowych.

Dra Kupczyka

Kraków ulica Szujskiego 11.

JAN JARZYNA

JUBILER i ZŁOTNIK

we LWOWIE, plac Maryacki

poleca swój bogato zaopatrzony skład wyrobów jubilerskich, złotych i srebrnych po najtańszych cenach.

Baczność!

W Cieszynie (Śląsk austr.) jest piękna, mała nowa

WILLA

z ogródkiem, z 2 pięknemi pomieszkaniami (na wysokim parterze 5 pokoi i kuchnia, w suterynie 2 pokoje i kuchnia) wodociąg, weranda z pięknym widokiem, w pobliżu las i t. d. i t. d. za K 19 000 z powodu zmiany służby do sprzedania. Zapytania u:

A. ŚLIWA

ul. Engeniusza Cieszyn, Śląsk austr

Gdy dni stają się dłuższe, nadchodzi wiosna

wie to każde dziecko. Ale także i o tem się wie, że właśnie wtedy najłatwiej się przeziębić. Kto jednak już jest przeziębiony lub przecież wrażliwym jest bardzo, powinien w każdym razie używać Faya prawdziwych Sodeńskich mineralnych pastylek, które zarówno niezawodnie zapobiegają, jak i usuwają katary ostre i chroniczne. Faya prawdziwych Sodeńskich pudełko kosztuje 1.25 K. i dostanie ich we wszystkich aptekach drogeryach i handlach wód mineralnych.

Jeneralne zastępstwo na Austryę-Węgry: **W. Th. Gunzert, Wiedeń, IV/, Grosse Neugasse 17**

Pierwsza krajowa fabryka

Gorsetów

H. SCHMEIDLERA

Kraków, Stradom 15.

Filia: **ulica Grodzka L. 1**

(wchód przez sień)

zwraca uprzejmie uwagę na swoje **ostatnie kroje i modele**

Ideały każdej Pani: elegancka figura i wygodne noszenie zostaje przez te gorsety urzeczywistn.

Nowości esezonwe: gorset »la parisienne«, gorset »frakowy«



Cenniki darmo i opłatnie.

PERFUMY

krajowe francuskie i angielskie

Gąbki, Grzebienie i wszelkie inne artykuły toaletowe

NOWOŚĆ: MYDŁA na wydelikatnienie cery Violettes de Nice »Nr. 810« karton 3 sztuk za Koron 2.00.

Mydła kwiatowe o silnym zapachu karton 6 szt. Kor. 1·00.

Mydła toaletowe o silnych zapachach za 1 kg. K. 2·00.

Mydła przetłuszczone Malinowskiego z Warszawy.

Schampoo-Tarool do mycia głowy i przeciw łupieżowi.



Kule i kręgle

z drzewa Lignum Sanctum

Huśtawki ogrodowe,

hamaki i przyrządy gimnastyczne.

Reim i Spółka Kraków

Rynek 37 Linia A. B.

polecają po cenach najtańszych

WANNY i MIEDNICE gumowe podróżne

LAWN TENNIS

RAKIETY, PIŁKI.

Piłki nożne.

Bomerang i Diabolo

najnowsza gra i zabawa.



PRZYBORY

do rybołówstwa do podróży. kąpielowe.

LAKIERY, KREMY i PASTY

do odświeżania i konserwowania bucików.

KIJE, Kule, Kręgielki i inne przyb. do gry bilardowej.

Kompletne aparaty do golenia „Gillet“

SYFONY i Kapsle SPARKLETS do sporządzania wody sodowej.

Cenniki darmo i opłatnie

J. K. KURKIEWICZ

Kraków Grodzka 7.

Krakowska elektro-motorowa fabryka

KIEŁBAS, WĘDLIN i DELIKATESÓW

poleca znane z dobroci wszelkie wędliny.

Tadeusz Węglarski

właściciel pierwszorzędnej pracowni sukien damskich w Krakowie i Zakopanem otworzył z dniem 15-go lutego b. r. filie we Lwowie, ul. Halicka 10 I. piętro, pod kierownictwem dyplomowanego za granicą przykrawacza Józefa Dadeja i wykonuje wszelką konfekcyę damską według najnowszej mody z własnych doborowych krajowych, angielskich i franc materyałów. — Krój angielski. — Specyalista amazonek. — Ceny umiarkowane.



Zdzisław Zdanowicz

Kraków

ul. Sławkowska L. 3. — Hotel Saski — Tel. 516.

Magazyn galanteryjny, Skład bielizny, kapeluszy, obuwia i przyborów do podróży.



Nadzwyczajne przygody reportera Józefa Rouletabille.

Zapach Damy w czerni

napisał Gaston Leroux.

8 (Ciąg dalszy).

— Wskutek też tego z Walencyi wysłałem depeszę, napisaną przez profesora Stangersona, którą pan zapewne już otrzymał. Przez całą noc nie spaliśmy. Gdy profesor spoczywał w przedziale, obok nas, Matylda wyjęła z swej walizy rewolwer, nabiła go i włożyła do mego palta, mówiąc: „jeżeli nas napadną, będziesz nas bronił!“ Ach! Co to była za noc!... Milczeliśmy, oszukując się wzajemnie, udając, że śpimy, przymykając oczy w świetle, gdyż nie śmieliśmy go zgasić. Pomimo, iż drzwi naszego przedziału zamknięte były na zasówkę, obawialiśmy się *jego* zjawienia. Serca nasze przyspieszały bicie na odgłos kroków na korytarzu. Zdawało mi się, że poznaję jego chód... Czy śledził nas dalej?... Czy udało się nam zwieść go?... Czy umknęliśmy przed nim?... Nie liczyłem na to... A ona! ona!... Patrzyłem jak milcząca, nieruchoma siedzi w rogu... czułem, jak jest zrozpaczona, nieszczęśliwsza odemnie z powodu tego nieszczęścia, które wlokło się za nią, jak przeznaczenie.... Chciałem ją pocieszać, otuchy dodać, nie znajdowałem jednak słów potrzebnych, gdyż przy pierwszem mem odezwaniu się, omdlałym ruchem dała mi poznać, iż milczenie będzie dla niej ulgą. Przymknąłem więc w ślad za nią oczy...

Ta noc spędzona w wagonie nie zaznaczyła się żadnym wypadkiem, który należałoby zanotować. Na stacyi Mentona-Garavan spotkał ich Artur Rance, zdziwiony obecnością młodej pary; gdy jednak dowiedział się, iż postanowili u niego spędzić kilka dni razem z profesorem, ucieszył się bardzo i oznajmił, iż i żona jego dozna z tego powodu wielkiej radości. Z przyjemnością również przyjął wiadomość o przyjeździe Rouletabille'a. Rance'owi była przykrą obojętność, jaką okazywał mu Darzac. Podczas ostatniej swej podróży do San Remo, młody profesor Sorbony ograniczył się tylko do krótkiej wizyty w zamku, odbytej w sposób bardzo ceremonialny. Mimo to w powrotnej drodze na stacyi Mentona-Garavan spotkali go bardzo serdecznie państwo Rance, uprzedzeni o jego przejeździe przez Stangersonów. Jednem słowem nie od Artura Rance'a zależało, by stosunki z Darzacami stały się sympatyczniejsze.

Widzieliśmy już poprzednio, jak zjawienie się Larsana na stacyi w Bourg zburzyło plany podróży młodej pary i zmusiło ich do zapomnienia swej niechęci do Rance'a, który nie był im miłym, lecz którego zawsze uważali za szlachetnego i gotowego do ich obrony. Jednocześnie wzywali na pomoc i Rouletabille'a. Była to zupełna panika. Zwiększyła się ona widocznie u Roberta Darzaca, gdy na spotkanie nasze wyjechał do Nicei Artur Rance. Przedtem jednak zaszło jeszcze małe zdarzenie, którego nie mogę pominąć milczeniem. Zaledwie pociąg zajechał na stacyę, wybiegłem pospiesznie z wagonu i udałem się do naczelnika stacyi z zapytaniem, czy niema dla mnie depeszy. Podano mi ją, nie otwierając jej jednak, wróciłem do Rouletabille'a i Darzaca.

— Przeczytaj — zwróciłem się do młodego dziennikarza.

Rouletabille otworzył depeszę i przeczytał:

„Brignolles nie opuszczał Paryża od 6-go kwietnia; zupełna pewność“.

Rouletabille spojrzał na mnie z uśmiechem.

— Ach, toś ty dowiadywał się o to? — rzekł. Cóż ty podejrzewasz?

— W Dijon — odpowiedziałem obrażony trochę niedbałym tonem Rouletabille'a — przyszło mi na myśl, czy przypadkiem Brignolles nie odgrywa jakiej roli w całej tej sprawie. Prosiłem też jednego z swych przyjaciół, by mnie uwiadomił o obecnem zachowaniu się tego jegomościa. Bardzo ciekawy byłem, czy on czasami nie wyjechał z Paryża.

— Jesteś więc już uspokojony — odrzekł Rouletabille. — Nie przypuszczałeś jednak chyba, by za twoim wyblakłym Brignolles'em ukrywał się Larsan.

— Tego, nie! — odrzekłem niechętnie, czułem bowiem, iż Rouletabille żartuje ze mnie.

W istocie jednak tak właśnie sądziłem.

— Pan jeszcze nie pogodził się myślą z Brignolles'em? — zapytał mnie smutnie Darzac. Jest to biedny, lecz dobry człowiek.

— Ja w to nie wierzę! — zaprzeczyłem i wsunąłem się w kąt przedziału.

W ogóle nie byłem zbyt szczęśliwym w swych pomysłach, zwłaszcza przy Rouletabille'u, którego nieraz one bawiły. Tym jednak razem mieliśmy się przekonać w kilka dni później, iż chociaż Brignolles nie był przebranym Larsanem, był jednak nędznikiem. Z tego też powodu Rouletabille i Darzac, oddając słuszność moim przewidowaniom, przepraszali mnie później za swoją niewiarę. Nie uprzedzajmy mimo to wypadków. Jeżeli wspominałem o tem zdarzeniu, to tylko dlatego, by okazać, jak mnie niepokoiła myśl, iż Larsan może przybrać na siebie postać jakiej osoby z naszego otoczenia. Ballmeyer już tyle razy okazał w tym względzie swój niezwykły talent, iż mogłem śmiało podejrzywać wszystko i wszystkich. Wkrótce miałem się przekonać, iż Larsan zmienił na razie swą taktykę. Zamiast ukrywać się, bandyta ten ukazywał się nam z dziwną śmiałością. Czego miał się obawiać w tym kraju? Ani Darzac, ani jego żona nie zawiadomią o nim policyi; również nie uczynią tego w takim razie i ich przyjaciele. Swoją obecnością chciał, zdawało się, zburzyć szczęście młodych małżonków, którzy uważali się za uwolnionych od niego na zawsze. Tutaj jednak powstaje jeden zarzut. Po co ta zemsta? Czyż nie zemściłby się bardziej, ukazując się przed ślubem? Nie dopuściłby przez to do jego zawarcia! Tak, lecz musiałby pokazać się w Paryżu. Czyż można przypuścić, że obawiał się tego kroku.

Posłuchajmy jednak Artura Rance, który spotkał nas troje w naszym przedziale. Rance naturalnie nic nie wie o historyi w Bourg, nic o zjawieniu się Larsana w wagonie, przybył tylko uprzedzić nas o strasznej wieści. Jeżeli mieliśmy jaką nadzieję jeszcze na pozbycie się Larsana, musimy ją obecnie utracić. I Artur Rance widział Larsana. Przybył zawczasu przestrzedz nas o tem, byśmy mogli zastanowić się, co należy czynić.

— Odprowadziliśmy pana na dworzec — zwrócił się do Darzaca. — Po odejściu pociągu pańska żona, pan Stangerson i ja poszliśmy przejść się. Profesor znajdował się w środku między nami. Nagle, gdyśmy zatrzymali się przy wyjściu z ogrodu publicznego, by wyminąć tramwaj, trącił mnie ktoś i rzekł: „przepraszam pana!“ zadrżałem zaraz, gdyż już słyszałem ten głos; podniosłem głowę: był to Larsan! Był to głos z rozprawy sądowej. Przyglądał się nam trojgu spokojnemi oczami. Nie wiem teraz, jakim sposobem powstrzymałem okrzyk, który dobywał mi się z ust, dlaczego nie zawołałem: „Larsan!“ Pociągnąłem szybko Stangersona i jego córkę, którzy nic nie widzieli; okiążyliśmy werandę orkiestralną i poprowadziłem ich do stacyi dorożek. Tutaj spotkałem znowu Larsana. Nie wiem zupełnie, jak profesor i pańska żona mogli go nie widzieć!...

— A czy pan jest tego pewny? — zapytał niespokojnie Darzac.

— Najzupełniej pewny!... Udałem lekkie osłabienie; wsiedliśmy do dorożki i kazałem szybko jechać. On stał ciągle na ulicy, mierząc nas swym zimnym wzrokiem.

— Lecz czy z pewnością żona moja nie widziała go? — zapytał znowu Darzac, coraz bardziej niespokojny.

— Zapewniam pana, że tak...

— Jeżeli pan sądzi, panie Darzac — przerwał Rouletabille — że będzie pan mógł długo ukrywać przed żoną to nowe zjawienie się Larsana, to pan się bardzo łudzi.

— A jednak pod koniec podróży — odrzekł Darzac — uwierzyła, że to była tylko halucynacya i przybywając do Garavan, wydała mi się zupełnie spokojną.

— Przybywając do Garavan? — rzekł Rouletabille — a oto depesza, którą mi pańska żona przysłała.

I dziennikarz podał mu depeszę z temi tylko dwoma słowami: „na pomoc!“

Darzac zmartwił się tem bardzo.

— Ona chyba oszaleje! — rzekł, potrząsając smutnie głową.

Tego obawialiśmy się wszyscy i rzecz dziwna, gdyśmy przybyli wreszcie na dworzec i spotkali tam profesora Stangersona, który wyszedł razem z córką, mimo obietnicy danej Rance'owi, że będzie oczekiwał na nas w zamku, pani Darzac powitała Rouletabille'a zdaniem, które było jakby echem naszych obaw. Gdy tylko go spostrzegła, podbiegła do niego i mieliśmy wrażenie, iż zmusza się, by go nie pochwycić w ramiona. Widziałem, że chwyciła go za ręce, jak tonący chwyta się deski ratunku i słyszałem jej szept: „zdaje mi się, że waryjuję“. Co zaś do Rouletabille'a, to widziałem go już tak bladym, nigdy jednak tak zimnym.

VI.

Gdy po wyjściu z dworca przybyliśmy w milczeniu nad brzeg morza, wzrok nasz uderzył ogrom majestatycznych murów zamku. Ukośne promienie słońca padając na stare ściany Wieży Czworobocznej zapalały ją jakby ogniem pożarów. Zdawało się, iż ta starożytna strażnica, odmłodzona teraz blaskiem zapadającego się za wodami światła strzeże tę wyciętą jak sierp lazurową zatokę. W miarę jednak jak zbliżaliśmy się, blaski gasły, przylądek pokrywał się cieniami, zamek stawał się złowróżbnym i groźnym mrokiem.

Na pierwszych stopniach wąskich schodów wiodących do jednej z baszt, spotkaliśmy bladą, piękną postać kobiecą. Była to żona Artura Rance, urocza i świetlana Edyta. Z pewnością narzeczona z Lamermooru nie była bielszą, gdy młody cudzoziemiec o czarnych oczach ocalił ją od rozhukanego byka, lecz Łucya z Lamermooru miała niebieskie oczy i była blondyną, podczas gdy Edyta!... Ach, gdy kto chce mieć momantyczną postać na tle średniowiecznych murów, postać nieznanej, odległej, żałosnej i melancholicznej księżniczki, nie może mieć tych oczów *mylady!* A włosy twoje są czarniejsze niż skrzydła krucze. Kolor ten nie jest anielskim. Czy jesteś aniołem, Edyto! Gdym cię ujrzał po raz pierwszy oczarowany łagodną harmonią twej bladej twarzy, pobiegłem za swojzreniem twych czarnych oczu, które spoczęły na córce profesora Stangersona, lecz ze źrenic twych padał jakiś ostry blask, który stanowił dziwny, rażący kontrast z przyjacielskiem brzmieniem twego głosu i lekkim uśmiechem różanych ust.

Głos tej młodej kobiety rozbrzmiewał dziwnym czarem; w całej postaci widniał wielki wdzięk; ruchy jej były łagodne i hormonijne. Przy prezentacyi, której dopełniał Artur Rance, odpowiadała w sposób najprostszy, najuprzejmiejszy, najgościnniejszy. Rouletabille i ja próbowaliśmy zachować swoją wolność, wyraziliśmy chęć zamieszkania nie w zamku. Zrobiła rozkoszną minkę, wzruszyła po dziecięcemu ramionami i oznajmiając, że pokoje nasze są już przygotowane, zaczęła mówić o czem innem.

— Panowie nie znają zamku.... Zobaczą go!... Przekonają się!... Pokażę panom *Wilczycę*... jest to tutaj smutny jedyny zakątek! jest tam straszno, mroczno i zimno! strachem tam przejmuje, lecz ja lubię bardzo doznawać strachu!... Oh! panie Rouletabille, pan mnie opowie historye przerażające, prawda?

(Ciąg dalszy nastąpi).